

CHIMERA. TOM PIĄTY. ZESZYT PIĘTNASTY. WRZESIEŃ 1902.  
REDAKCYA I ADMINISTRACYA — WARSZAWA NOWY ŚWIAT 22.



## TREŚĆ.

TOM V. ZESZYT 15. — WRZESIEŃ 1902.

JERZY ŻULAWSKI . . . . .	Widzenia Jecheskielowe (przekład) . . . . .	355
JAN WROCZYŃSKI . . . . .	U źródła . . . . .	367
BOLESŁAW LEŚMIAN . . . . .	Z księgi przeczuc . . . . .	384
RALPH WALDO EMERSON . . . . .	Poeta . . . . .	401
K. BALMONT . . . . .	Jąłem ścigać jak w snach . . . . .	418
WŁADYSŁAW KORYCKI . . . . .	Widzenia . . . . .	420
KAROL BAUDELAIRE . . . . .	Potępiłone . . . . .	440
TRISTAN KLINGSOR . . . . .	Z cyklu: „Dziewczęta-Kwiaty“ . . . . .	442
RACHILDE . . . . .	Handlarz słońca . . . . .	451
BOLESŁAW KOŁTOŃSKI . . . . .	Oczy, wy, moje . . . . .	465
JULIUSZ ZEYER . . . . .	Dom „pód tonącą gwiazdą“ . . . . .	468
JAN LEMAŃSKI . . . . .	Mundus vult decipi . . . . .	482

<b>KRONIKA MIESIĘCZNA</b> . . . . .		500
TREDECIM . . . . .	Glossy.	
WŁAST . . . . .	Powieść.	
CHIMERA . . . . .	Varia.	

KAROL TICHY . . . . .	Dziewczyna modląca się. Rysunek węglowy, odtworzony w światłodruku u B. Wierzbickiego i S-ki w Warszawie.	
N. S. . . . .	Trzy rysunki do „U źródła“ . . . . .	367, 375, 383
EDWARD OKUŃ . . . . .	Trzy rysunki . . . . .	384, 400, 453
JÓZEF MEHOFFER . . . . .	Dwa rysunki dekoracyjne . . . . .	401, 417
<i>tegoż</i> . . . . .	Inicjał . . . . .	482
FELICYAN ROPS . . . . .	Vita per ignem (dewiza) . . . . .	419
FRANCISZEK WOJTALA . . . . .	Inicjały . . . . .	420, 422, 424, 426, 428, 429, 431, 433, 434, 436, 438, 468
STANISŁAW TURBIA KRZYSZTAŁOWICZ	Ozdoby . . . . .	441, 443, 445, 447, 449
AUBREY BEARDSLEY . . . . .	Rysunek . . . . .	450

Klische rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładzie chemigraficznym  
B. WIERZBICKIEGO i S-ki.  
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“  
Skladał FELIKS DĄBROWICZ i JÓZEF PERŻAK. Łamał FELIKS DĄBROWICZ.  
Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — M. KUCHOWSKI.  
Pod zarządkiem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дополнено Цензурою. Варшава, 18 Октября 1902 года.



*Dziewczyna modląca się. Rysunek  
węglowy Karola Tichego.*









## Widzenia Jecheskielowe.

וַאֲרָאָה מֵרָאוֹת אֱלֹהִים:

*Hez. I. 1.*

### WIDZENIE WOZU.

Roz. I, w. 1, 2, 3. *Stało się tedy, ponad Kebar rzeką,  
że ja, Jecheskiel, syn Buzy, kaptana —  
w Chaldei, kędy tzy wygnańców cieką,  
widziałem niebios podniesione wieko  
i przychodzącą straszną zjawę Pana.*

*A było piąte lato, miesiąc czwarty,  
odkąd wraz z ludem poszedł dźwigać pęta  
Jojachin władca, ziemi swej wydarty:  
wtedy nade mną strop niebios rozwarły,  
i Przedwiecznego moc się stała święta.*

w. 4. *Zawył z północy huragan, gnąc dęby,  
a w nawałnicy przyszła chmura sroga  
i tuman ognia: — wkrąg błyskawic zęby  
darły obłoków pokrwawione kłęby, —  
w środku: rdzeń ognia, złoty blask, pożoga.*



- w. 5, 6. *A otom uźrzat z ogniowego rdzenia  
cztery postacie jakoby człowiecze,  
zaś miedzi skrzącej podobne z weźrzenia:  
czworgiem oblicza każda z nich z płomienia  
patrzy i płomień czworgiem skrzydeł siecze.*
- w. 7, 8. *Udo ich proste, jako słup toczony,  
a stopa krągła, jako stopa wołu, —  
i każda postać, z czterema ramiony,  
cztery oblicza w cztery zwraca strony;  
skrzydła—dwa w górze ma, dwa zasię z dołu.*
- w. 9. *Wzniesione — wzajem łączą się u góry,  
dolne, złożone, z obojego boku  
ciała im kryją szerokiemi pióry.  
Idąc, wprost twarzy idą, jak pod sznury,  
ni się zwracają, odmieniając kroku.*
- w. 10. *A to jest obraz ich twarzy prawdziwy:  
każda wprzód patrzy oczyma ludzkimi,  
z prawej lwia paszcza śród płomiennej grzy-  
z lewej łeb wołu, a orli dziób krzywy [wy,  
z tyłu tych czworga, wzniesiony nad niemi.*
- w. 11, 12. *Skrzydła rozwite nad twarzami w górze,  
zaś dwa złożone z obojego boku.  
Tam, kędy wioną straszne ducha burze,  
idą postacie—wprost przed siebie, w chmurze  
ognia, a idąc, nie zwracają kroku.*
- w. 13, 14. *Żar i zarzewie — oto ich weźrzenie,  
jako pochodnia, gdy wielce rozgorze.  
A przebiegały pośród nich płomienie, —  
wkrag jasność, z niej zaś szło błyskawic lśnie-  
jak błyskawica szły zwierzęta boże. [nie;*

- w. 15, 16. *A kiedym poźrzał, zoczyłem na przodzie  
każdej postaci jasną koła zjawę:  
barwą podobne zmiennej morskiej wodzie,  
a jedno koło w drugiego obwodzie, —  
cztery—a wszystkie jak bursztyn jaskrawe.*
- w. 17, 18. *I szły te koła w cztery świata strony,  
ni się zwracały, tocząc się po niebie  
na sprych promieniach wspinałemi dzwony,  
a zaś ich obwód cały wysadzony  
oczami, — idąc, szły prosto przed siebie.*
- w. 19, 20. *Dokąd zwierzęta boże szły, tam z niemi  
dążyły koła, — tam, gdzie wiać ochota  
przyszła duchowi. Szły więc z idącemi  
a zaś się wespół wznosiły od ziemi:  
zaiste, w kołach tych był duch żywota.*
- w. 21. *Gdy się ruszały ich postacie zwierzchnie,  
i same koła sunęły świetliste,  
wraz z niemi stały w blasku, co niemierzchnie,  
lub się wznosiły wespół nad powierzchnię:  
był duch żywota w kołach tych zaiste.*
- w. 22, 23. *Zasię nad zwierząt głowami u góry  
jakoby kryształ blasku i rozpięte  
w strasznej jasności sklepienia lazury, —  
a pod sklepieniem, ognistemi pióry  
złączone, skrzydła — prosto wyciągnięte.*
- w. 24. *A szum tych skrzydeł, gdy szła owa zjawą,  
jakoby łoskot straszego potopu,  
boży grzmot, tłumy zgiełk, obozu wrzawa —  
tak były wicher. Lecz się cisza stawa,  
gdy się wstrzymają pod jasnością stropu.*

- w. 25. *Bo kiedy zagrzmiał głos na utwierdzeniu,  
które na głowach zwierząt się opiera,  
posłuszne, w wielkiem stanęły milczeniu,  
spuściwszy skrzydła,—a w błyskawic lśnieniu  
nad niemi w górze jaśń słoneczna szczera.*
- w. 26. *I w tej jasności nad zwierząt głowami  
uźrzałem niby zjawisko stolicy,  
niby z szafiru tron, co oczy mami  
ogromnych blasków promiennych snopami;  
na tronie — ludzka postać w błyskawicy.*
- w. 27. *Uźrzałem: jakby widmo chryzolitu,  
jakoby ogień chodzący wokół;  
od biodr poniżej: jasności błękitu  
i skier tumany; od biodr aż do szczytu  
głowy: blask ognia — jarkie słońca czoło.*
- w. 28. *Jak tęcza świetna, słońcem malowana,  
kiedy w dzień dżdżysty błysnie nad obłokiem:  
takowa jasność biła w krąg świetlana —  
a toć był obraz strasznej chwały Pana!*

*Na twarz upadłem, rażon tym widokiem...*



## WIDZENIE KSIĘGI.

- Roz. II, w. 1, 2. *Tedy słyszałem głos, co grzmiał tajemnie  
z pośrodka zjawy: Wstań! chcę mówić z tobą,  
synu człowieczy!—Wraz duch wstąpił we mnie,  
wzmocnił me nogi, startł z mych oczu ciemnię—  
i rzekącego słyszałem nad sobą:*
- w. 3. *Synu człowieczy! Oto ja ślę ciebie  
do Izraela, do mej krnąbrnej gminy,  
co się zaprzęła Mnie, Boga na niebie;  
jako ich ojce, na Mym wzrosłe chlebie,  
tak są odstępne aż po dziś-dzień syny!*
- w. 4, 5. *Nieukrócony to lud i oporny,  
któremu ciebie posyłam w dzień trudu,  
byś rzekł: To mówi Pan!—Czy kto, przezor-  
posłucha, a kto zaniecha (przekorny [ny,  
dom jest!])—niech wiedzą: prorok był wśród  
[ludu.*

- w. 6. *Ty się nie strachaj, nie bój się ich mowy:  
pośród niedźwiadków mieszkasz od tej pory,  
a zaś postaniem twojem kierz cierniowy, —  
lecz w ich obliczu nie drzyj, ani głowy  
skłaniaj przed nimi: dom to jest przekory!*
- w. 7, 8. *Kto snadź poniecha, czy ucha nakłoni  
— boć dom przekorny! — z Mojem słowem by-  
niech słyszą! Zasię nie bądź ty, jak oni, [waj,  
krnąbrny, lecz słuchaj, coć mówię: w Mej dłoni  
twa strawa; usta otwarłszy, pożywaj!*
- w. 9, 10. *Ano poźrzałem: dłoń ku mnie ściągniona,  
w niej zwita księga, — a gdy się rozkłada  
przed okiem mojem, widzę, każda strona  
z wierzchu i z spodu pismem wypełniona,  
a znaki pisma: jęk i płacz i biada!*
- Roz. III, w. 1, 2. *I zaś Pan rzecze: Zjedz, synu człowieczy,  
cokolwiek dajęć — i pójdz kazać ziemi  
Izraelowej, co prorocctwom przeczy! —  
Otwarłem usta, i Pan w samej rzeczy  
karmił mnie, sługę, księgami owemi.*
- w. 3. *A zaś: Zaprawdę — pry — napelnij łono,  
żywot i trzewa i żył swych kanały  
onych ksiąg gorzkich treścią przetrawioną —  
toć Ja ci daję! — Zjadłem je, a ono  
jako miód słodkie w uściech mych się zdały!*

## WIDZENIE SIĘDMI MEŻÓW.

- Roz. VIII, w. 2. *Uźrzałem postać — niby chryzolitu  
widmo, jak płomień chodzący wokóło;  
od biodr poniżej — jasności błękitu  
i skier tumany; od biodr aż do szczytu  
głowy—blask ognia, w nim słoneczne czoło.*
- w. 3, 4. *A oto jakby widmo skrzącej dłonie  
wraz mnie chwyciło za głowy kędzierze  
i duch mnie poniósł przez powietrzne tonie  
pomiędzy niebem a ziemią ku stronie,  
gdzie Jeruzalem wznosi swoje wieże.*
- A podle brony, co na północ idzie,  
gniew wzbudzający batwan stoi ninie  
ku hańbie ludu i bożej ohydzie;  
nade mną chwata Pańska w takim widzie,  
jakom ją wprzódę uźrzał na równinie.*



- w. 5. *I rzekł Pan do mnie: Wznies ano źrenice  
i patrz na drogę! — I oto mi widny,  
kiedym wznioł oczy na Pańską świątnię,  
podle ołtarza u wstępu ulice  
batwan jątrzący i nader bezwstydney.*
- w. 6. *I rzekł Pan do mnie: O, synu człowieczy!  
widzisz, co czynią? Lud Moje najświętsze  
miejsce skalawszy, przymierze kaleczy,  
abym ztąd odszedł i puścił go z pieczy;  
wszelakoż zbrodnie pełnią jeszcze więtsze!*
- w. 18. *W zapalczywości przeto z nimi pocznę  
i nie sfolguje oko Me, ni serce  
drgnie zmiłowaniem, ni mnie podobłoczne  
jęki ich wzruszą — i nie pierwej spocznę,  
aż do ostatka wytracę bluźnierce!*
- Roz. IX, w. 1. *I głosem wielkim, jak potężne grzmoty,  
Pan począł wołać (zmartwiałem od lęku):  
Sam-tu, siepacze Moi, do roboty,  
bo nawiedzenia przyszedł dzień na złoty  
gród Jeruzalem, — pójdźcie! z mieczem w rę-  
[ku!*
- w. 2. *I sześci mężów przyszli na głos Pana,  
z mieczami wszyscy, — a siódmy w ich rzędzie  
stanął pośrodku, kędy jest miedziana  
ołtarza słoba, — szata na nim lniana  
a zaś u bioder pisarskie narzędzie.*
- w. 3. *I z cherubiego wozu Pańska Chwała  
spłynęła w żrących błyskawic potoku  
do wrót świątyni i męża przyzwała,  
na którym była lniana szata biała  
a zaś pisarskie naczynie u boku.*

- w. 4, 5. *I rzekł Pan tedy: Idź skroś Jeruzalem  
i naznacz znakiem tych, co wśród wzdychania  
nad tą ohydą drą swe szaty z żalem;  
a wy w trop za nim, — lasu mego drwałem  
bądźcie, a rąbcie wkrąg bez zmitowania;*
- w. 6. *Starca, młodzieńca, niewiastę i dziecko —  
wybijcie wszystko, wybijcie do nogi,  
kromia kto znak Mój będzie miał na grzbie-  
a od świątyni Mojej rozpoczniecie [cie,—  
rzeż — niechaj spłyną krwią sienie i progi!*
- w. 7. *Tak rozpoczęli ona pracę krwawą  
od starszych ludu poprzez Pańskim domem.  
A Pan rzekł do nich: Kładźcie wszystko ławą,  
splugawcie dom Mój trupami a żwawo!  
I oni wyszli, bijąc w mieście gromem.*
- w. 8. *A gdy skończyli wreszcie zabijanie,  
ja sam zostałem i padłem i z żalem  
wołałem: Biada, biada, biada, Panie!  
wytracisz lud Twój wszystek, nie ostanie  
nikt, gdy wylejesz gniew na Jeruzalem!*
- w. 9. *A Pan mi rzecze: Bez miary, bez miary  
są grzechy ludu, co dom Mój ohydzi!  
Oto kraina do krwi pełnej czary  
podobna, miasto jest przybytkiem kary,  
iżę mówili: Odszedł Pan, nie widzi!*
- w. 10, 11. *Więc nie sfolguję, aże ich przewiny  
oddam z nawiązką, dobrze wymierzoną,  
by Mnie poznały izraelskie syny!  
A oto — na trup pokazując siny —  
rzekł mąż w gźle lnianem: Jakoś rzekł,  
[spełniono.*

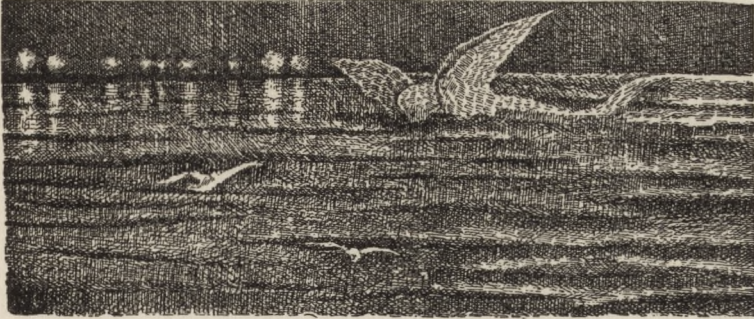
## WIDZENIE POLA KOŚCI.

- R. XXXVII, w. 1, 2. *Tedy mnie tknęła Pańska moc i boże  
wichry rzuciły mnie, jak lotną strzałę,  
na wielkie, kośćmi zastane bezdroże.  
I duch mię obwiódł wkrąg po tym ugorze —  
a kości wszędy, suche wielce, białe...*
- w. 3, 4. *I rzekł Pan do mnie: Co myślisz, azali  
może żyć owa sucha kość i mnoga?  
Jam rzekł: Ty, Panie, wiesz!—On zasię dalej:  
Prorokuj białej pieszczelów tych fali,  
mów: Kości suche! słyszcie słowo Boga!*
- w. 5, 6. *To mówi Pan wasz: Natchnę was żywotem,  
sprawię, że mięso znów na was poroście,  
żyły rozepnę i ścięгна, a potem  
powlokę skórą i dam dech z powrotem,  
byście wiedziały, że Ja Pan wasz, koście!*

- w. 7. *Prorokowałem wedle rozkazania —  
i oto wszczął się wielki szum po stepie,  
gdym prorokował, łoskot, chrzęst wstawiania:  
wnet kość do kości sunie się i skłania,  
każda w swym stawie siada i czerepie.*
- w. 8. *I otom widział, jako je pokryły  
ścięgna, i mięsem kość porosta sucha,  
i zatętniały krwią czerwone żyły,  
i skórą ciała obleczone były —  
ale nie miały do tej pory ducha.*
- w. 9. *Zaś Pan rzekł do mnie: Prorokuj duchowi,  
prorokuj, synu człowieczy, prawdziwie,  
niechaj twój język wolę Mą wystłowi:  
Od czterech wiatrów w ciało, co się mrowi  
tutaj, wion ducha, niech wstanie a żywie!*
- w. 10. *Jako rozkazał, tedym prorokował —  
i wnet duch powiał nad tę zżętą ściernię  
i wstąpił w ciała leżące na pował:  
jakoby wojsko, które naszykował  
Pan, wstały tłumy, liczne niepomiernie.*
- w. 11. *A Pan zaś rzecze: Kości one suche,  
synu człowieczy — dom to Izraela!  
Oto się skarżą: Tracimy otuchę,  
snaż nam już zginąć w oną zawieruchę,  
co gęstym trupem naszym świat zaściela!*
- w. 12, 13. *Prorokuj przeto: Mówi Pan nad Pany:  
Otworzę groby wasze i w dzień cudu  
na Izraelskie was wywiodę łany,  
a kiedy grób wasz będzie rozłamany,  
doznacie, zem Ja jest Bóg wasz,—Mój ludu!*



w. 14. *I kiedy ducha Mojego w was włożę,  
i gdy was skrzepię, plemię dziś kalecze,  
gdy na ojczystym odpocząć ugorze  
dam wam — zaprawdę! poznacie w tej porze,  
żem Ja powiedział i spełnił. Pan rzecze.*



Gdzie?

Nigdzie niema... Przecież błdziłem, chodziłem, szukałem...

Czasami gdzieś na bielonych murach klasztornego korytarza złotem zatańczył obłąkany wieczną tęsknotą słoneczny pocałunek...

Ale to dawno.

Kiedys też zaiskrzyła się nieziemskim, mistycznym blaskiem sukienka na obrazie Maryi, zaśmiała się tańcem iskerek od hymnów serdecznych...

A wtedy?

Skradał się o świcie, podpatrzył to... Chłodny, blady poranek, rosa, wilgna, chłodne powietrze osmętniło szare mury w litanie zimnych, sierocych łez. Cichy, uśpiony klasztor. Wielki, posępny nieodgadłą ciszą, podwórzec. Dziecko stróża klasztornego tak płacze, płacze... chore,

rachityczne, żółte, zziębłe dziecko... Patrzył... z zamglonych pleśnią czasu, wyblakłych fresków zeszyły sędziwe postacie świętych Ojców z dobrotliwym uśmiechem, poczęły zabawiać płaczące, smutne dziecię...

Widział to wyraźnie. Przybiegł zaraz, ale widzenie znikło.

Albo kiedyś...

Zmierzchowy spokój, biała toń zadumy kościoła... Ciemno... Gdzieś w nawie żarzy czerwonawą, wyrzutną skargą lampka... Parę ciemnych, słabych, chorych postaci w kątach... Chorągwie drżą od subtelnego oddechu świętych na ołtarzach, na starych, zczerniałych obrazach... i to bez boga, bez hymnu, bez strasznej, prometejowej rozpaczy... jeno ta cicha, bezgłosa zaduma zmęczenia...

Wtedy po raz pierwszy przeczuł czyste, bezpłciowe „To.“

Potem szukał, błądził, tęsknił.

Tak.

Tęsknił do zaklętych, białych, spokojnych jak Śmierć ogrodów, o których prawił mu często fantastyczne baśnie mróz, rysując wielkie, zmrożone ciszą, drzewa na szybach. Wpatrywał się jesienią godzinami w samotniczy, derwiszowy taniec liści, uschłych w wiecznej Tęsknicy...

Jest „To,“ ale on go nie widzi.

Więc szukał.

Nic.

Raz zdawało mu się, że poznał jakiś przelotny, znajomy błysk na różowych ustach śmiejącego się dziewczęcia w skwar letni...

Coś... Coś...

Wpatrywał się, czynił ze swego wzroku myśl... na próżno... Coś marzy mu się, coś błąka w mózgu...

Długie godziny trawił w zadumie przed ponuremi, romańskimi zamczyskami, co w wielkiej dumie zaskrzępego milczenia czekają na burze, które umyją strumieniem płomieni zbrukane twarze zmarłych bojowników, witezi i królów, drzemiące na sarkofagach w ich mrocznych wnętrzach. Wpatrywał się w zastygłe twarze gotyckich rycerzy na omszałych, zadumanych smętkiem przeszłości płytach grobowców.

„To“ — uleciało.

A może jest tam, gdzieś głębiej, i trwa, kryjąc swą istotę pod zielonym całunem zapomnienia i plesni?

.....

Niema, nigdzie niema, w ludziach niema, w ich myślach, tworach. Wszystko szare, przeciętne i monotonne, tęczyowy dywan myśli człowieczych stał się bezbarwną, logicznie doskonałą przędzą... Tak; sam, zawsze sam: tak być musi. Zamknął się więc w sobie, zasłuchał w jakieś tajemnicze Sfinksy, majaczące w gwiazdach. Jak jezioro odbił je głęboko na dnach duszy i trwał, zapomniawszy siebie.

Oczy jego stawały się coraz jaśniejsze, jak oczy alkoholika. Upijał się nieledwie przecuciem idei. Nie starał się brutalnie uświadomić w sobie wyraźnego, bezwzględnie określonego celu. Byłoby to zniweczeniem hołubionej idei. Wiedział, że była tak wiotką i tak jasno, dziecięco zieloną, że zniszczyły ją, złamał gwałcący strumień karczemnej ciekawości. Dla tego też nie zrywał z niej białych, mgławych welonów. Kiedyś może zbudzona odbierze mu jego konieczną, sierocą realność wielkim, natężonym krzykiem swego Bytu, ona — Anadyomene! Tak; gdy wzrośnie, spotężnieje w silną, jehowiczną Moc, sama uświadomi się jemu. Tak, objawi się... Wielkie objawienie z siebie.

.....



Raz w tłumie wieczorem, w gwarze różnobarwnych światel i przytłumionego łoskotu wielkiego miasta, uczuł na mgnienie sekundy, że to, to wszystko jest mu tak dziwnie, strasznie znajome. Uczuł raptem, że to, ten czuciowy stan swej duszy, już raz przechodził, czuł tak samo, tak dziwnie jednakowo już raz... już... już...

Z radosnem drżeniem przeczuł, że objawi mu się jakieś jarzące, potężne słowo...

i. . . . .

lecz... lecz...

raptem ściemniło mu się w mózgu, z błyskawiczną szybkością coś zakołowało...

. . . . .

zemdlał.

A w nocy, gdy Cisza z wielkich, otchłannych przepaści schodzi na ziemię i słucha długich, miarowych, twardej opowieści zegarów o nędzy ludzkiej, wtedy, pogrążony w jakiś haszyszowy bezmiar, słuchał i czekał kogoś... Czekał Tej, co jest tak arystokratyczna, że nie chce, aby ludzie profanowali ją nazwą...

— — może to Śmierć?

I dziwna, biała, pochylała się nad nim i prawiała mu coś wyteżonym wzrokiem...

Czy o tych praojcach, co na łąkach raję tkają ze swych myśli tęcze, by potem opasać tą wstęgą blade czoło kochanki-ziemi?

Śpiewa mu oczami i ustami:

Orle pióra... orle krzyki...

Zimne ciała salamandry, które lize ogień, wiecznie zimne i ciche...

Słuchaj... słuchaj...

Przełknięte oczy królowny (jasne, popielato szare),  
która, wyszedłszy po nocy poślubnej do zamkowych ogro-  
dów, znalazła łzę, jedną maluchną łezkę na nieruchomych  
oczach marmurowego satyra...

.....  
Wiesz? wiesz?

W chorej purpurze zachodu przed cudowną figurą  
Najświętszej Paniienki rozplakany, siwy faun...

.....  
Poeta — ty poeta...

Puklerze wielkie, a tęgie, a zżarte rdzą... i bisior,  
poplamiony w królewskim szale krwią i łzami...

I słońce, co ucieka w szalonym, panicznym strachu  
przez ciemnie, przez głusze wieków, a gubi po drodze  
krwiste szmaty na nagich czerepach szkieletów. — I ten  
strach, strach, co zbija tytanów w kłębki... Strach, co  
wyrasta w nocie miesięczne na nieplodnych ugorach sze-  
regiem ostrych, wąskich badyli...

A dziecię ucieka...

W ciemnym łachmanie... do Matki...

A w chacie Matki gromnica stoi, na której Szatan  
osadził najmniejszą, najbrudniejszą gwiazdkę, tę nikłą  
i żółtą.

Niech pocieszy...

.....  
Przed gorączką lśnjącymi oczyma chaos, bezład obra-  
zów, wszystko, wszystko... coś błyska... coś idzie...  
idzie...

Zrozumieć — oh, zrozumieć!

Wyteżonym mózgiem patrzył w bezładne tłumy wi-  
dzeń...

.....  
W tanecznym, bezładnym, zawrotnym szale bieży



wciąż wszystko, mknie przez myśl — — Życia stopione  
w sekundach, odwieczne, zapomniane melodie...

.....

A harfa gra...

Piekielny chaos melodyi... łąka... wielkie, płaskie,  
senne liście basów, wiotkie, strzeliste dziewanny fletów  
mieszają się z drzemiacami nenufarami trąb... A w to  
wpełzły, wkradły się, oplotły wszystko — jak kobieta —  
liany skrzypiec, lubieżne, płaczące, cienkie...

.....

Mknie, wszystko wciąż mknie... Złote raje, wyśnio-  
ne baśnie... zamczyska upiorne o świecących ślepiach,  
w których tęsknią królowny, bladzi krawcy, marzący  
o wielkiej wojnie... Wszystko otulone w mgławą szatę  
zapomnienia...

A ona szepcze:

to... to... to...

A potem stapia się wraz ze snami i widzeniami w cie-  
mną sylwetę...

jedna wielka, czarna rysa...

jakby pęknięcie...

co? co?

cicho... czarna rysa... milknie, niknie...

i...

.....

usnął.

A potem po przebudzeniu żal, głuche, wyblakłe, go-  
belinowe echa prześnionych szalów. — Sezamy, do których  
wabiące ścieżki, niby wieczorne wołania prostytutek, widział  
i słyszał tylko w bezładnych majakach gorączki, — nikły...  
Szedł zbudzony, znów w życie — szukać.

Obłąd tęsknoty, niewyraźnej, nieokreślonej...

i apatya — — — nieustanna, monotonna apatya życia...

Tak... tak...

Ohydny, wyczerpujący stan przygnębienia, drewnianej, o nieruchomych, martwych, ołowianych oczach, apatyi.

Tracił nadzieję.

Gasła, milkła, to znów z olbrzymią siłą buchała podniecona jakimś przelotnym, migotliwym błyskiem.

Rzucił się gwałtownie do kobiet.

Tak.

Może tam, tam?

Może w nich?... „To“?... wielkie „To“? Ich subtelna, czuciowa inteligencja, inteligencja nerwów, przeczuć, sympaty... Genialna inteligencja mimozy, wyczuwającej rytm świetlanych mórz księżycy... Inteligencja gwiazd, których jasne, kojące promyki całują mroczną, zadumową toń samotniczych, smutnych, niezgłębionych jezior...

A ich melancholijne, sfinksowe uśmiechy?

A liliowa patyna dłoni, białych dłoni złotokosych królewien?

A żalne słowa kochanek, które osiadają rosą wczesnym rankiem przed bitwą na miedzianych tarczach wojowników?

Ale nie, niema... niema...

A może źle szukał? może brutalnością połamał wiotkie lilie? może szalem ognia zniweczył prorocze, sybillowe księgi?

Niema...

Więc gdzie?

Nigdzie?

Jest — musi być, musi . . . . .

„To.“

A ta harfa, której cienkie struny całowało słońce?

A ten błysk, który ułowił na zardzewiałym, pradziadowskim ryngrafie na ścianie, gdy babka opowiadała sagi Przeszłości?

A ten srebrny lot gwiazd, który wtedy — widział dobrze — zamarł w gasnący, minorowy ton?



A tony pastuszej fletni, które wiją się w siedmio-  
barwne tęcze?

I ta Tęsknia... żrąca, niszcząca Tęsknia, Tęsknota  
niemal przedtwórcza, która mu kazała szukać i błędzić?

Ale niema...

Niema...

Wszystko obszedł; w społeczeństwie, w ludziach, ni-  
gdzie.

A może źle szukał?

Nie — ależ nie. — Obszedł wszystko, wszystko wi-  
dział, wszędy pytał. A może jest za brutalny? może jego  
dusza — ta harfa Eola — ma za grube struny, by na nich  
mogły zadrgać i zafalować subtelne tajemnice?

Nie.

Przecież ten błysk... przecież czuł, dlatego szukał...  
A ta Tęsknia, wielka, piekąca jak rana Tęsknia?

„To“ musi być gdzieś jednakże.

Nie w twardej nieruchomości społeczeństwa, nie  
w zmuđnej, jednotonnej zegarowości jego — wiedział to,  
czuł...

Więc może po za niem?

I nie w kościołach. Chciał tam znaleźć Chrystusa,  
tego, który upijał się ideami w osamotnieniu do takiego  
stopnia, że zapominał miesiącami o ciele, o pokarmach...  
tego, którego twarz można widzieć dopiero w obłędnej  
ekstazie zachwycenia. Tak; po za ziemią, po za życiem  
chwili.

Marzył o świętem pijaństwie biczowników, narkoty-  
zujących się bólem. Śnił na jawie fantastyczne, dziwne  
dumy.

Podniecał głodny, zgorączkowany umysł odczytywa-  
niem starych, zapomnianych kronik, annałów, kabalistycz-  
nych, proroczych ksiąg. W mózgu snuły mu się umarłe  
legiony wielkich nostalgistów Przeszłości, tęskniących do

nieznanych, przeczuwanych światów: czyste postacie czci-  
cieli ognia, zimni, o fantastycznym, rozpalonem sercu, że-  
laźni rycerze krucyat, straszni mocą zolbrzymiałego Ducha  
fakirzy, adamici, gnostycy, zadumani w gwiazdy astrolo-  
gowie, alchemicy, ludzie paleni za stosunki z czartem,  
obłąkani poszukiwacze „perpetuum mobile...”

Marzenia nie wystarczały mu: zaraz gubił wątek  
swych idei. Szukał więc w życiu. Gdzie?

Gdzie?

Przecież czuł, że jest jednakże „To,” wielkie, niezaw-  
isłe „To.”

Przecież raz mu błysnęło w oczach zdychającego  
z ran psa...

i tam... i tam...

Męczył się, chorował, denerwował coraz bardziej.

Niema, niema, niema!

Czuł się zmęczonym, złym, rozdrażnionym.



Kiedyś krewni  
przyszli do jego po-  
koju. Chcieli, aże-  
by poszedł z nimi...  
„gdzieś...”

Coś mówili dłu-  
go, przekonywają-  
co — nie zważał.

A może tam?

Błysnęła mu ja-  
kaś myśl. Wiatr

przecucia poruszył święte naczynia, wiszące na wielkich dębach: lekki, dojmujący dźwięk...

Coś wskazał małej lampki olejnej zbląkanej w labiryncie katakumb.

Poszedł bez oporu.

Może???

Zaprowadzono go do wielkiego gmachu o forticznym wyglądem.

Mimochodem rzucił okiem na bramę: tablica z napisem: „szpital waryatów.“ Nie zwrócił na to wielkiej uwagi: on przecież był bezstronnym!

Gmach z pozoru nie podobał mu się. Wyglądał jak wszystko, czego nie lubił: tak twardo, doskonale, matematycznie sztywnie i prostokątnie.

Ale wszedł.

Prowadzali go po surowych, sennych korytarzach. Długie, posępne, o sinawem zabarwieniu, skąpo oświetlone tunele. Odgłos kroków brzmiał dziwnie dobitnie, głośno, przykro.

Dudnienie to odczuwał fizycznym niemal bólem pod czaszką.

Jakieś osoby patrzyły na niego oczyma handlarzy.

Nakoniec pożegnano się z nim, ściśnięto parę razy mocno za rękę... Coś mówili... nie słuchał... miny mieli, zda się, rozrzewnione... tak, tak... zauważył nawet łzę w oku żony... zdziwiło go to trochę, zresztą było mu to tak strasznie obojętne. Poszli.

Jakaś sala... Drzwi otwarte, wszedł...

Dużo ludzi.

Takie dziwne ich zachowanie się. Raptem uczył jakiegoś wewnętrznego wzruszenia.

Może tu?

„To?“

Podbiegł szybko, pełen jakiegoś radosnego olśnienia

do grupy ludzi. Poczul odrazu ogromną sympatyę do nich: ich oczy były jak jego... takie dziwnie jasne, radosne, zadziwione... oczy, które nie widzą świata, nie widzą tego, na kogo patrzą, tylko widzą „coś...”

„Coś...” tam... po za mną... gdzieś głębiej... w czwartym wymiarze...

Coś...

Tak.

Uczul wewnętrzne, jasne wzruszenie...

Tu... tu... tu...

Jest!!!

Trwożne, słodkie, zapierające dech w piersi oczekiwanie... Poczeli mówić... bezładnie... szybko, gorączkowo... wszyscy... i on...

„To.”

Usłyszał chaos głosów, chaos mów, chaos okrzyków i dum, rzucanych w przestrzeń powstańczo, wielkich pytań, które nie pragną odpowiedzi. W gwarze miliona olbrzymich, despotycznych, królewskich majaczeń na jawie — (są jako storczyki zwierzęce, rośliny obłąkane bólem granitu, coś jakby błędne, pijane linie, wśród których szczeka niepokój dziwnej, upojnej woni gwiazd nagich, z szat świetlnych odartych) — wyodrębniły mu się zwolna pojedyncze okrzyki, dumy, wyznania.

Ktoś mówił:

„biedni oni są, biedni — oh tacy biedni ci ludzie!

Odarto ich ze wszystkiego, pozbawiono ich najwyższego szczęścia, potęgi...

Wiesz jak?

czego?

Ongi-m miał wieszczą, olbrzymią harfę, świętą wszech-



światem niewygranych, niebudzonych pieśni... Harfa — a struny jej złote promyki słońca i czarne umarłych gwiazd... Zły demon porwał mi ją i rozbił w milion warkoczy kobiecych...

i nie mam, nie mam...

Oh, biedni oni są, biedni! Nie usłyszą wielkiej pieśni... moja wieszczka harfa rozstrzelona w milion warkoczy kobiecych..."

.....

Szept dziwny, niepokojący wżarł mu się w uszy:  
„...umiesz inkrustować smutkiem białe piersi kobiet, powiedz, umiesz?..“

Ktoś pyta:

„możesz przyniósł te szumy i zapytania, które rzucają w kruz twojego serca, w przepaść twych dum złote chorały rozmodlonych płodnością łąnów? co? mów...“

Tak...

To... To...

.....

Ktoś nachylił się do samego jego ucha:

„Czekaj, przyszedłeś... może oni cię przysłali... widzisz... ja ukochałem ludzkość... a wiesz jak? wiesz kto ja? wiesz? „Oni“ mówili, żem egoista... zbrodniarz... a — — — ja ci powiem...“

Zgarbiony, chudy waryat nachylił się bliżej:

„Ta ziemia, ten wielki glob... to moje wielkie serce...

Tylko cicho, cicho...

Cichooo — — — “

.....

Uczuł wkrąg siebie dziwną, tytaniczną, wyśnioną atmosferę. Jak orle skrzydła były się wokół niego niezawisłe, nieskrępowane niczem, rozkielznane idee, wielkie powstańcze dumy, dumy, które już nie pragną odpowiedzi,

tych twardych źerdzi, na których siada zmęczony lotem  
ptak-idea...

Wielka, wolna pieśń sokołów!

Sokoły dumy, które nie rozumieją złotwiego pełzania  
realności...

I te subtelne, nieuchwytne błyski, lekkie jak granie  
miesiąca na cynowych, krągłych misach, błyski, półmgły,  
półcienie, których szukał tak długo, długo...

Tak...

To... To... To...

Przeczuł, że wielkie „To“ jest tutaj, w tym gmachu,  
w tych słowach to jego wyśnione „tam.“

„Jam prorok... słuchajcie, znalazłem Miłość...“

Chcecie, żebym was kochał szalenie, niepodzielnie,  
potężnie? a więc przedewszystkiem obalcie moje szczęście,  
ażebym, nie krępowany niczem, więcej zwracał na was  
uwagi...“

Ktoś mówił:

„Wiesz, wiesz — ja w burzę chciałem porozwieszać  
haftowane dywany kolorowych baśni na chmurach, by  
pocieszyć ich, smutnych, bezdomnych ludzi...“

„Śmieli się ze mnie,“ przerwał ktoś, „żem mówił:  
jestem mgłą, jestem swoim cieniem... a to jest prawda.“

Wiesz? wiesz? wiesz?

Ja kazałem swej woli stać się tem; i stałem się, sły-  
szysz, stałem się, bom silny — —  
ja — — ja — — ja — — — ...“

„Słyszysz dzwon? widzisz dzwon? czujesz dzwon?

Jak huczą...

Szatan splamił... splamił... splamił gorącym tchnieniem białe lilie...

i stały się dzwonami... i zieją rozpacz, hymn, ból...

Słyszysz dzwon? widzisz dzwon? czujesz dzwon?

Splamił, splamił, splamił...“

Stłumiony, konwulsyjny, rozpaczny płacz.

„hhahhahhaaa...

moje ja uciekło ode mnie... słyszycie? uciekło moje ja ode mnie i ukryło się w nagim ciele ponętnej, lubieżnej kobiety... i śmieje się ztamtąd do mnie kusząco...

Słyszycie? wy — głusi!

Moje ja uciekło ode mnie! Uciekło ode mnie moje ja!

Słyszycie?

Hahhahaa...“

Śmiech — jakby wielka, pękata bania potoczył się w ciszę.

Uparte, monotonne, jednobarwne powtarzania jednej i tej samej myśli:

„Dwóch nas było: ja i bóg. Ponieważ bóg był bardzo do mnie podobny, więc zabiłem go, poćwiartowałem jego mięso i warzę teraz w saganie przy ognisku, wyławiając łyżką mocne ekstrakty szczytnych idei, którym mu kiedyś oddał w szale twórczości...

dwóch nas było: ja i...“

„A gdzie ma Tęsknia?

Czy może poszła do tego wielkiego, o błękitnej, zimnej zrenicy jeziora Bólu i myje w niem swe białe, nieskazitelne nogi?..“

Z pośród gęstwy głosów strzela jasną, radosną dziewaną krzyk dumny, świeży:

„Przez monotonne aleje skurczonych, ślizgich, o zielonych, fosforycznych oczach, ropuch Przyczyn i Skutków pędzi, skacząc przez grzędy pokoleń ten włóczęga niewiadomego pochodzenia — Grzech i jego dwa złośliwe, pokraczne mopsy Kara i Pokuta...“

Słuchajcie! zabiłem go — teraz wolni jesteście... Raj...“

Cichy szept, kobiecy niemal łagodnością półtonów:

„Marzę...“

Kiedys o świcie suchotnicza ma pierś rozpęknie od złotawych, żywicznych tchnień i czerwonym, wijącym się padalcem krwi wypełnie w zieloną trawę boru...“

Marzę o śmierci...“

Porwał go ktoś za ramię i odprowadził do framugi okna:

„Czy... czy nie mówiły ci czego krwiste maki w ogrodach o mnie? co? co?“

A może tyś już skuł w głaz słów namiętny oddech róży, rozkwitłej od kropelki purpurowej krwi, która padła na nią w dzień Wielkiej Bitwy?

A może i ty już umarłeś na dnach kielichów lilii, rozkwitłych w nocie miesięczne? Na dnach kielichów lilii, które nie zaznały, co to gorąca nagość słoneczna?

Biedaku: — mów...“

No cicho, cicho... nie płacz...“

Ostry krzyk rozdarł ciszę:

„Widziałem Napoleona, tak, widziałem Napoleona wczoraj, jak wieczorem szukał schylony na pobojowisku ostatniej najmniejszej łezki...“



„Hej, hej!

Z tłumu rozżalonych, zahukanych drewnianych bóstw  
pobierałem złote uśmiechy, by oddać je kobiecie, mojej  
srebrnej kochance...

hej, hej!“

„Jam tytan...

Radosny, zwycięzki, migąłem czasem przed waszemi  
oczyma tęgą pawężą Mocy — ja — Attyla, Neron, Jano-  
sik, Napoleon...

Ja — tytan!

Lubieżne ciało tłumu, naga, zmysłowa, tarzająca się  
u mych stóp w obłędnej rozkoszy strachu, Ludzkość łechcącą  
wielką, zapierającą dech w piersiach pieszczotą śmierci...“

„Lazurowe miecze grają wśród mej krwi broczącej...

Ostrzem stali rozjaśniłem posepną, nudną monotonię  
rytmu swego serca... stałem się lekki przedziwnie i moc  
swą symbolizuję Ludzkości w zwał trupów wokoło...

A otóż przyszedł, by śpiewać! Lazurowe miecze gra-  
ją wśród mej krwi broczącej! i pogarda stali chłodzi go-  
rączkę mych żył.... Śmierć... Śmierć...“

Czuł się rzeźkim, zmartwychwstałym. Znalazł „To“ —  
wyśnione, upragnione. Ujrzał olbrzymiego, sięgającego  
gwiazd człowieka... Wszedł jak w dziewiczy las idei,  
rozrośniętych zuchwale, nieskrępowanych niczem, nawet  
szczęściem i dobrobytem. Olbrzymi, fantastyczny las idei —  
jakby wolnych przedhistorycznych widłaków i skrzypów,  
załanych zielonawem światłem marzenia. Zamajaczało mu  
coś, jakby orchidee, złocienie potworne jakieś, obłąkane  
rokokiem wykwintu, jakieś złote pieśni, które w lasach

muchomorom karły grają... Rytm wielkiej poezji, łańcuch nastrojów, na którym gra jarzące pieśni szalona fantazyja.

„To,“ subtelne, wolne, nieodgadłe, wznioślejsze niż modlitwa, niż adorujący oddech kadzielnic. Czuł, że tutaj między nimi znajduje się żywy On — On... Zoroaster... Buddha... Ci, pijani, wielcy pijacy ziemi... Ci, co zrozumieli pierwsi lot ptaków i dali go, zaklęwszy w słowa, pospółstwu...

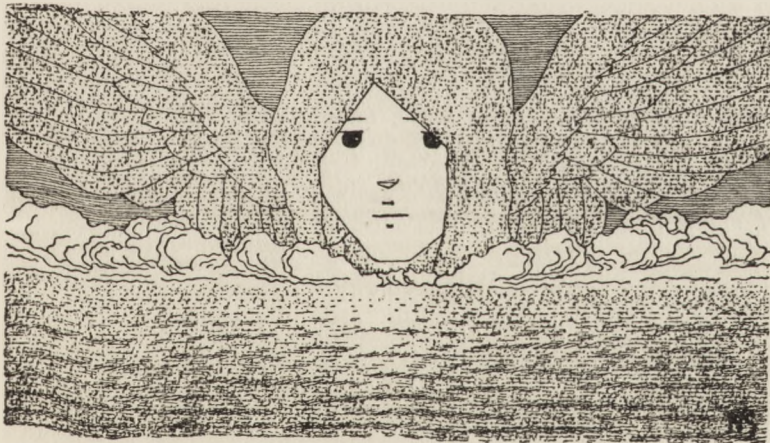
A tam, za murami tego domu są jeszcze kościoły, świątynie mroczne, zimne... „oni“ patrzą na obraziki, na krucyfiksy...

Począł się śmiać cicho, złośliwie, długo...

Znalazł...

„To“ — wielkie, tak długo szukane „To...“

Znalazł.



Jan Wroczyński.



Z księgi przecuć.

PROLOG.

*Dwa zwierciadła, czujące swych głębin powietrzność,  
Jedno przeciw drugiemu ustawiam z pośpiechem,  
I widzę szereg odbić, zasuniętych w wieczność,  
Każde dalsze zakrzepłem bliższego jest echem...*

*Dwie świece płoną przy mnie, mrużąc złote oczy,  
Zapatrzone w lustrzanych otchłań wirydarzy:  
Tam aleja świec liśćmi złotymi się jarzy  
I rzeka nurt stężały obojętnie toczy...*

*Widzę tunel lustrzany, wyżłobiony, zda się,  
W podziemiach moich marzeń, groźny i zakłęty,  
Samotny, stopą ludzką nigdy nie dotknięty,  
Nie znający pór roku, zamarty w bezczasie...*

*Widzę baśń zwierciadlaną, kędy, zamiast słońca,  
Nad zwłokami praistnień orszak gromnic czuwa,*

*Baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa,  
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca...*

*Gdy umrę, bracia moi, ponieście mą trumnę  
Przez tunel, pogrążony w zgróz tajemnych krasie,  
W jego oddal dziewiczą i głębie bezszumne,  
Nie znające pór roku, zamarte w beczasie...*

*Gdy umrę, siostry moje, zagaście blask słońca,  
Idźcie za mną w baśń ową, gdzie chór gromnic czuwa,  
W baśń, co się sama z siebie bez końca wysnuwa,  
Po to, aby się nigdy nie dosnuć do końca!*



## NOC.

*Noc na niebie. Wieś w mroku złudnie roztajała  
W bezkształt senny, tu-ówdzie światłem zwypuklony.  
Psów wycie rozpowieksza bezbrzeż wsi uspionej,  
I, niby srebra stosy, płonie chmur nawata.*

*W tej i owej chat szybie lśni światelka gwiazda,  
Czasem sylwetka głowy zamignie i zginie, —  
Sen szyby... W wonnych sadów szemrzącej głębinie  
Duchy na nocleg w ptasie wdzierają się gniazda.*

*Zapach ziemi wilgotnej i zziębniętych kwiatów  
Zlewa się w jakiś mocny i wystaly trunek.  
Wietrzyk spadł mi na czoło, niby pocałunek, —  
Zkąd, od kogo? — sam nie wiem! Może z poza światów...*

*A na niebie rozpiętem, bezbrzeżnie rozległem  
Księżyc pała, chmur srebrne zwisają odlewy,*

*Jakiś anioł (on nie wie, że go tam dostrzegłem!)  
Anioł błękitnooki i żłocistobrewy,  
Z gorączkowym rumieńcem, w zwierciadle księżycy  
Przegląda swe o Bogu zadumane lica.*

STEP.

*Wkoło mnie step, chłonący własne uciszenie.  
Wicher — rzekłbyś — z księżycą wybiega z szelestem.  
Zdaje mi się, że ziemskie zatracił istnienie,  
Że step śni, a ja — stepu snem przelotnym jestem...*

*Lęk mię chwyta, że ocknie się mój pan uśpiony,  
I pierzchnę z jego oczu, ja — chwilowa mrzonka!  
Lecz pan mój śpi — a jego sen po nim się błąka, —  
Błąkam się, jakbym płynąć pragnął w nieboskłony!*

*Cień za światłem, a światło sunie się za cieniem  
Po ziemi, gdzie się w mroku zblękitnia zieloność.  
A tam, do widnokręgów przykuta milczeniem,  
Czai się rozszerzona nocą nieskończoność.*

## GŁUCHONIEMA.

*We wsi naszej jest jedna głuchoniema dziewczka.  
Pragniesz głos jej postyszeć, gdy patrzy w lazury,  
Bo w jej oku się tai gadatliwa śpiewka.  
Przyszła do nas z wsi obcej, niewiadomo której.*

*Nikt nie zna jej nazwiska, ni Snu, co ją stworzył, —  
Chyba śmierć ją zawoła kiedyś po imieniu...  
Ja — chciałem być jej śmiercią, aby w jej milczeniu  
Znaleźć strunę, na której Bóg dłonie położył...*

*Myślałem, że, gdy w złotym wieczności obłędzie  
Garścią ziemi uderzę w niemą pierś dziewczyny,  
Pierś ta dumką łabędzią zahuczy w doliny  
I zbudzi na jeziorach uspione łabędzie!..*

*We wsi naszej jest jedna rzeka bardzo blada.  
Dziad jakiś nurzał sieci w falistej głębinie, —*



Pytam go, co za rzeka? — a on odpowiada:  
„Trudno dać imię temu, co w dalekość płynie...

„Mówią jedni, że Tykicz, drudzy, że Mohiła, —  
Inni mówią: Daleka, a zaś inni: Blizka, —  
Ja stary wiem, że niema ta rzeka nazwiska,  
Co rzece po imieniu, gdy w snach dno zgubiła!..“

We wsi naszej nieziemskie bywają wieczory,  
Gdy zorza świat przemienia w sen o snach nietrwały,  
Wtedy w duszy się rodzą fioletowe zmory  
I wspomnienia o rzeczach, które nie istniały.

W taki wieczór widziałem, jak ta głuchoniema  
Z duszą do umarłego podobną słowika,  
Ta śpiewaczka bezgłówna, lira bez lirnika  
Szła ku rzece, witając ją dłońmi obiema.

Tam stanęła jak człowiek, co, nie słysząc, słucha —  
I złotą sieć warkocza zanurzyła w głębi.  
Rybaczka! — chciała może złowić sen gotębi,  
Który własnym jej głosem na dnie rzeki grucha!

Albo może pragnęła ta łowczyni śmiała  
Chwycić własne odbicie w sieć złocisto-płową,  
Myśląc, że ono, ludzką obdarzone mową,  
Opowie ludziom wszystko, o czem wciąż milczała!

Nagle strząsnęła sploty. Ognie zórz ją złocą,  
Jak światłość wiekuista, przyćmiona i senna...

Obca sobie i światu, między dniem a nocą  
Nad bezimienną rzeką stoi bezimienna...

SAD.

*Rozmajaczył się dzisiaj mój sad czereśniowy,  
Ku księżycowi ścieżką wyteżony krętą.  
Noc go czyni podobnym do mrocznej alkowy,  
W której drzewa uśpione wraz z ich snem zamknięto!*

*Rozmajaczył się dzisiaj mój sad... Wszak w południe  
Dziewczęta rwały tutaj dojrzałe czereśnie.  
Wyszły potem. Owoce, iskrzące się złudnie,  
Skryły się w mroku nocy, niby oczy we śnie.*

*Skryły się w mroku nocy, — ale, idąc sadem,  
Czuję wśród ciemności ich ciężkie zwisanie, —  
Czuję czyjeś spojrzenie na mem czole bladym:  
Jest ktoś w sadzie, co patrzy i co ma swe trwanie...*

*Rozmajaczył się dzisiaj mój sad, jakby w sobie  
Nie jedną, ale tysiąc nagromadził nocy!*

*Szybciej krążą drzew soki, ze skrytych owocy  
Tryska światło czerwone, lśniąc w mroków żalobie!*

*I sad mój w purpurowem tonie oświetleniu,  
W którym staje się wszystko, co się staje we śnie...  
W południe tu dziewczęta zrywały czereśnie,  
Wyszły potem...*

*Lecz teraz w szkarłatnem omdleniu  
Widzę tu inne dziewczki, cudowne, olbrzymie —  
Żądze moje! Ta — spiekle rozchyliła usta,  
Inna własnym warkoczem, słodkim jak rozpusta,  
Chłoszcze piersi, — a inna chce szepnąć me imię,  
Lecz darmo — obłąkana — szuka go w pamięci:  
Zginałem tam, jak w lubej, ponętnej mogile, —  
Dobrze mi tam, — o! lepiej, niżli żyć przez chwilę  
Z dziewczką, co w głupim tańcu nadziei się kręci!*

*Sad szumi. Dziewki moje rojnie i gromadnie  
W zachwyceniu na wielkie wspinają się drzewa  
I rwą złudne owoce, tryskające zdradnie  
Ogniem, który tej nocy tak sennie dojrzewa!*

*Rwą i karmią się chciwie przestodkim płomieniem,  
Wpływającym do piersi, jak do oczu zmora,  
Bo ten płomień, choć znika, jeszcze przed zniknięciem  
Daje im przedsmak jutra, co przyjsć miało wczora...*

*Ale ja czuję ciągle czyjś wzrok przez otchłanie,  
I słyszę wciąż śmiech cichy, szyderczo-żałobny:  
Jest ktoś w sadzie, co patrzy, i co ma swe trwanie,  
Ktoś, co drwi z moich dziewczek... ktoś — do mnie podobny!*

## LEŻĘ NAWZNAK NA ŁĄCE...

*Leżę nawznak na łące. Jakiś duch po burzy  
Wspólnych lotów, w objęciach mocniejszych od stali  
Zaniósł mię tu i złożył — sam odleciał dalej.  
Słońce z dłoni omdlałej złoty sen mi wróży!*

*Wicher włosy mi czesze na rozgrzanej skroni.  
Szum w dali niewidzialną kotarą powiewa,  
Za którą harem kwiatów lubieżnie omdlewa,  
Aż czuję podniebieniem smak trującej woni.*

*Zdaje mi się, żeśm skonał umyślnie i ożył,  
Przemieniony w szum leśny, albo w szelest tąki,  
Co życia nie pojmuje bez wiecznej rozłąki  
Z drzewem, z którego powstał, — z kwiatem, co go stworzył.*

*Zdaje mi się, że mózg mój jest tygłem piekielnym,  
W którym słońce swe szaty przetapia na złoto,*



*Żem roztajał oddawna w traw zgielku weselnym,  
Żem się rozsiał po łące, aby wzejść tęsknotą!..*

*Wrażenie barw i szumów i bezdennych światów,  
Zmieszane w jedność, niby w stworzenia pradobie,  
Oddziela się odemnie, jako woń od kwiatów,  
I trwa już ponadę mną — i już samo w sobie!*

*A chociaż ze mnie wyszło — należy nie do mnie,  
Lecz do wszystkich chmur, słońca przerażonych marą,  
Do bezkresów, do nieba, jasnego ogromnie,  
Co na mnie — niewiernego — patrzy z taką wiarą!..*

## KABAŁA.

*Oto pragnę odgadnąć bieg życia strumieni, —  
Dni przyszłe, dni wysiłkiem godzin rozszalane, —  
W dłoni mam karty, żółkłe, jak liście jesieni,  
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabałę...*

*I, gdy duch mój, prastarą z życiem strudzon waśnią,  
W ogniach jasnowidzenia pali snów obiata, —  
Pokój się rozezłaca w zamkową komnatę,  
Ja — i wszystko poza mną wnet się staje baśnią!*

*Z kart głębi, gdzie się tają portrety odwieczne  
Czterech dworów królewskich, zaświatowych dworów,  
Wychodzą, do odklętych podobne upiorów,  
Króle, damy i pазie — cztery sny słoneczne!*

*Zmarłych dawno czarownic widziadlane syny,  
W turkusach i topazach, w jedwabiach i złocie,*

*W stroju sennym, zawilym, — ku mojej tęsknocie  
Zwracają martwe oczy i ust koral siny!*

*I, unosząc w swych bertach wieczności promienie,  
W kabalistycznym tańcu wirują po sali, —  
Damy, jak tulipany, — pазie, jak złocienie,  
Królowie, jak lotosy, które żądza pali!*

*Do tańca gra im zwiewna, dalsza od miesiąca,  
Muzyka, wywołana ich stóp wirowaniem,  
Melodya, niewiadomo z kąd wypływająca,  
Melodya, co trwa kędyś poza własnem trwaniem...*

*Trwa i śpiewa o bramach, gdzie w progach u celu  
Nic nas jeszcze nie czeka prócz Oczekiwania,  
O krainach przebrzmiałych, kędy w harf weselu  
Sam taniec bez tancerzy upojnie się stania!..*

*Sam taniec bez tancerzy, sam szal bez przedmiotu, —  
Trwa i śpiewa i nagle w oddaleniu kona...  
Wraz z nią pierzcha i moja baśń niedokończona,  
Sen, wysnuty z niczego, — albo z gwiazd obrotu!..*

*I znowu dawny pokój, widzę pełny cieni,  
Co przed chwilą krył zamku zakłętego chwałę, —  
W dłoni mam karty, żółkłe, jak liście jesieni,  
Od wichru wróżb trawiących. Układam kabalę...*

## ZAPOMNIENIE.

*Czasem, gdy idę stępem, a noc rzuca własny  
Cień, po którym chcę zgadnąć jej zakształt niejasny, —  
Wydaje mi się nagle, że zapomniał — o czym? —  
Nie wiem, — lecz o czymś blizkiem, tajemnem, uroczem...*

*Mozem chciał się pomodlić, wtopiony w przestrzenie,  
O nagle, niespodziane, nieziemskie istnienie,  
Ale słowa modlitwy pierzchły w mgły bezdomne, —  
I już się nie pomodłę i słów nie przypomnę...*

*A może śmierć wejrzała ku mnie z podobłoczy,  
Kiedy miałem ku życiu zawrócone oczy —  
I zapomniałem umrzeć, zapomniałem o tem,  
By odlecieć w świat, który wiecznym jest odlotem!*

*Lub może potajemny rozkaz czulem w duszy,  
Abym dom swój opuścił na zawsze wśród głuszy,*

*A szedł wiecznie w oddale senne, nieprzytomne, —  
I zapomniałem, — dokąd, — i już nie przypomnę...*

*Jest to chwila, gdy Pamięć mimo trwożnej chęci  
Pocałunek na czole składa Niepamięci...  
Chwila, gdy idę stepem, a noc rzuca własny  
Cień, po którym chcę zgadnąć jej zakształt niejasny...*



## EPILOG.

*Bracie, smutny mój bracie! Ty, co słyszysz wiecznie  
Echa własnych odjazdów ku mgłom zaistnienia,  
Ty, co duszę, stworzoną od Bożego tchnienia,  
Chcesz tchnąć dalej — w głąb marzeń, płonących słonecznie,*

*Gdy skroń twą melancholii klasztornicza cnota  
Przykuje do szyb zimnych samotnej komnaty,  
Pij truciznę mej pieśni, ciemniejszą od złota,  
Pieniącą się obłędem wonnym, niby kwiaty!*

*Dusza twoja w tem życiu, jak księżyc w jeziorze,  
Odbiła się, na mgnienie rozjaśniając fale,  
Jutro księżyc odpłynie w niewiadome dale,  
Jezioro spustoszeje i ciemność je zmoże!..*

*Odwróć oczy od niego! Spójrz na gwiazdne szlaki,  
Którymi iść masz dłużej, niżeli po świecie!*

*Pij truciznę mej pieśni, — i w tajemne znaki  
Swych przeczuć wglądaj zawsze, ufny, jako dziecię!*

*A oto przykazanie daję ci w żałobie  
Z moich marzeń Synaju, gdzie ukryty płonę:  
Czyn tak zawsze i dumaj, jak gdyby ku tobie  
Oczy wszystkich umarłych były wciąż zwrócone!*



Bolesław Leśmian.



## Poeta.

Olympian bards who sung  
Divine ideas below,  
Which always find us young  
And always keep us so.

Rzekomi arbitrzy w rzeczach smaku bywają często ludźmi, którzy posiadli po trosze znajomość najświetniejszych dzieł malarstwa i rzeźby, i mają zamiłowanie do wszelkiej elegancyi, lecz gdy poczniemy badać, czy ich dusze są również piękne, oraz czy ich czyny są podobne do pięknych malowideł, przekonywamy się łącno, że mamy do czynienia z pospolitymi zmysłowymi egoistami. Ich wykształcenie nie sięga poza ciasny zakres, podobnie jak suche polano, pocierane dla otrzymania ognia, rozgrzewa się tylko na jednym miejscu, a na innych pozostaje zimnem. Ich znanstwo w dziedzinie sztuk pięknych polega na znajomości reguł i szczegółów, lub też na ograniczonych sądach w sprawach barwy i kształtu, wygłaszanych dla rozrywki lub pozoru. Jak płytkie są teorie estetyczne naszych miłośników sztuki, świadczy dostatecznie już ta okoliczność, iż, jak się zdaje, zatracili oni doszczętnie poczucie



ściślej zależności wszelkich kształtów od duszy. W naszej filozofii brak nauki o kształtach. Wkładają nas w nasze ciała, jak żar w panew, gwoli przenoszeniu z miejsca na miejsce, a nikomu przez myśl nie przejdzie, jak ścisłym jest związek duszy i narządów, a tem mniej, że te ostatnie są zawsze wytworami pierwszej. Ludzie inteligentni zgoła już przestali wierzyć w jakąkolwiek istotną zależność świata materialnego od ducha i woli. Teologowie, gdy im przyjdzie mówić o duchowem znaczeniu okrętu, chmury, miasta, czy traktatu, uważają to za piękną mrzonkę i wycofują się chętnie w takich razach na stały ląd oczywistości historycznej; nawet nasi poeci zadowolają się filisterskim, zrównoważonym trybem życia i piszą swe poezye z wyobraźni, trzymającej się przezornie zdala od ich własnego doświadczenia. Natomiast najwyższe duchy świata nie ustawały nigdy w badaniu dwoistego, a raczej poczwórnego, sto- czy tysiąckrotnego znaczenia wszelkiej pod zmysły podpadającej zjawy: tak czynił Orfeusz i Empedokles, i Heraklit, i Plato, i Plutarch, i Dante, i Swedenborg, i wszyscy wsławieni mistrze rzeźby, malarstwa i poezyi. Albowiem nie mamy nic wspólnego z panwiami, ni urnami z ogniem, ani też nie niesiemy światła ni pochodni, lecz jesteśmy dziećmi ognia, z niegośmy utworzeni, a nawet—aczkolwiek tego zgoła nie przeczuwamy—stanowimy tylko odmienną formę tej boskiej siły, formę, która zaledwie o dwie lub trzy przemiany od niej się oddaliła. I właśnie ta utajona prawda, że źródła, z których wytryska cały strumień epoki wraz ze wszystkimi swemi tworemami są w swej najistotniejszej głębi piękne i idealne, skłania nas do rozpatrywania istoty i funkcji poety, tego herolda piękności, do rozważania środków i materyałów, którymi się on posługuje, oraz do rzutu oka na ogólny stan sztuki w chwili obecnej.

Doniosłość problemu jest ogromna, bo poeta ma zna-



czenie reprezentanta. Wśród ludzi niedoskonałych reprezentuje on człowieka doskonałego i uszczęśliwia nas bogactwem nie swoim, ale świata całego. Młodzieniec czci geniuszów, bo, otwarcie mówiąc, na jego indywidualność więcej złożyli się tamci, niż on sam. On czerpie z tego samego ducha, co oni, ale oni zaczerpnęli więcej. W oczach ludzi kochających, przyroda zyskuje na piękności, gdy sobie wyobraża, że poeta wraz z nimi patrzy na jej przepychy. On wśród współczesnych sobie stoi odosobniony wraz ze swą prawdą i swoją sztuką, ale ma tę pociechę, że jego dążenia stworzą prąd, który wcześniej lub później wszystkich ludzi ze sobą porwie. Albowiem wszyscy ludzie żyją prawdą i potrzebują się wypowiedzieć. W miłości i sztuce, w skąpstwie i polityce, w zabawie i pracy, usiłujemy wyjawić naszą tajemnicę bolesną. Każdy człowiek jest tylko przez pół sobą samym, drugą jego połowę stanowi wyraz!

A jednak mimo tej potrzeby wypowiedzania się, prawie nigdy nie umiemy rzeczywiście się wypowiedzieć. Nie wiemy, z kąd to pochodzi, że wciąż potrzebujemy tłumacza; snadź znaczna większość ludzi podobna jest małodzieńcom, którzy jeszcze są niezdolni do rzeczywistej samodzielności, lub niemym, którzy swego stosunku do przyrody nie potrafią określić słowami. Niema człowieka, któryby nie przypuszczał, że słońce i gwiazdy, ziemia i woda mają nadzwyczajne cele. Oto są one, oto jeno czekają, aby mu świadczyć szczególniejsze przysługi.

Wszelako w naszym ustroju działają snadź jakieś czynniki hamujące, lub może pierwiastki ospałości, które nie pozwalają mu wyrzec swej mocy w całej pełni. Wpływy przyrody wstrząsają nami za słabo, aby z nas uczynić artystów. Przy każdym zetknięciu powinnyby w nas coś rozbrzmiewać i wibrować. Każdy z nas powinienby być artystą w tym stopniu, aby przynajmniej w rozmowie



mógł wyrazić, co się w nim i z nim dzieje. Lecz wiemy z doświadczenia, że promienie i wrażenia mają wprawdzie dość siły, aby dotrzeć do zmysłów, lecz niedość, aby osiągnąć ośrodków ruchowych i objawić się w słowach. Tylko u poety siły te są w równowadze, tylko on jeden przebiega całą skalę doświadczeń i, dzięki swej tytanicznej zdolności przyjmowania i udzielania wrażeń, staje się przedstawicielem całej ludzkości.

Albowiem wszechświat ma troje dzieci, zrodzonych w tym samym czasie, które pod rozmaitemi imionami pojawiają się w każdym systemie filozoficznym, bez względu na to, czy się zowią przyczyną, działaniem i skutkiem, czy poetyczniejsz Jupiterem, Plutonem i Neptunem, — a które my tutaj mędrcem, działaczem i wieszczem zwać będziemy. Ta trójca reprezentuje miłość do prawdy, miłość do dobra i miłość do piękna. Wszyscy trzej są sobie równi; każdy z nich jest tem, czem jest, istotnie i rzeczywiście, tak że ani przewyższony, ani analizowany być nie może, każdy z tej trójcy zawiera w sobie moce dwóch innych w stanie biernym, a jego własne są czynne i wolne.

Poeta jest wieszczem, głosicielem i reprezentuje piękno. Jest nieograniczonym władcą i stoi w środku wszechświata. Albowiem świat nie jest wymalowany i upiękuszony, lecz jest piękny od początku do końca. Krytykę naszą skazyły gładzenia materyalistów; ci samozwańczo utrzymują, że fizyczna zręczność i działalność stanowi największą zasługę człowieka, i lekceważą tych, którzy mówią, a nie działają, zapominając, że niektórzy ludzie, a mianowicie poeci, są z natury swojej głosicielami, zesłanymi na świat gwoli wieszczonemu i przepowiadaniu, i mieszając ich z ludźmi czynu, porzucającymi swą dziedzinę, aby naśladować wieszczów. Ależ słowa Homera są dla Homera niemniej boskie i przedziwne, niż dla Agamemnona zwycięstwa Agamemnona. Poeta nie czeka na bohaterów i mędrców,

lecz, podobnie jak oni bezpośrednio czynią i myślą, tak on z pierwszego popędu tworzy i pisze to, co powinno być wypowiedziane, a tworząc, wyznacza im, drugorzędną rolę zjawisk i sług swoich, aczkolwiek oni sami przez się mają pierwszorzędne znaczenie, rolę podobną do tej, jaką odgrywają modele w pracowni malarza, lub robotnicy, którzy dostarczają architektowi materiałów do jego budowy.

Albowiem wszelka poezya była już napisana, zanim czas zaczął istnieć, i jeśli jesteśmy na tyle wysubtelnionymi organizacjami, że możemy dotrzeć do tych sfer, gdzie powietrze jest "muzyką, słyszymy owe pierwotne melodye i próbujemy je spisywać, lecz tu i owdzie zapominamy jakiegoś słowa, lub jakiegoś wiersza, a na jego miejsce wstawiamy inne własnego pomysłu i w ten sposób psujemy poemat! Ludzie o subtelniejszym słuchu spisują owe melodye wierniej i ich transkrypcye, acz niedoskonałe, stają się pieśniami narodów. Gdyż przyroda jest tak istotnie piękna, jak jest dobra i rozumna, i wymaga tak samo spostrzegania, jak wypełniania i poznawania. Słowa i czyny jako przejawy boskiej energii są sobie zupełnie równe co do wartości. I słowa są czynami, a czyny rodzajem słów.

Znamieniem i pismem uwierzytelniającem poety jest to, że ma on w sobie rzeczy, których nikt inny przed nim nie powiedział. On jest jedynym i prawdziwym nauczycielem, on wie i umie opowiadać, on jedyny przynosi nam istotnie coś nowego, bo on był obecnym i wtajemniczonym w zjawisko, które nam opisuje. On jest tym, który widzi idee, który wypowiada przyczynę i konieczność. Nie mówię tu o poetyckich talentach, ani o sprytnych i pilnych rymopisach, ale o prawdziwym poecie. Zdarzyło mi się niedawno wziąć udział w rozmowie o jednym z nowoczesnych liryków, człowieku wytwornego ducha, którego mózg zda się istnem narzędziem muzycznym, pełnem słod-

kich tonów i rytmów, i którego biegłości we władaniu językiem nie mogliśmy się dość nachwalić. Wszelako gdy się nasunęło pytanie, czy jest on nietylko wybornym lirykiem, lecz i poetą, musieliśmy wszyscy przyznać, że oczywiście mamy do czynienia z talentem współczesnym, nie zaś wybrańcem wieczności. Bo nie wystrzelał on z naszych nizinnych padołów jak pod równikiem Chimborasso, który ze swej podstawy spalonej żarem słońca, dźwiga się poprzez wszystkie klimaty i strefy ziemi i opasuje swe wysokie, różnobarwne stoki roślinnością wszystkich szerokości; był on raczej podobny do willi pośród nowoczesnego parku, przyozdobionego wdzięcznie fontannami i posązkami, gdzie po promenadach i tarasach przechadzają się i wypoczywają dobrze wychowani panowie i damy. Poprzez zmienną muzykę słów, słyszeliśmy ton zasadniczy naszego konwencyjonalnego życia. Nasi poeci są to ludzie utalentowani, którzy śpiewają, nie zaś synowie muzyki. Treść jest dla nich rzeczą drugorzędną, gładkość wierszy główną.

A tymczasem istotę poezji stanowi nie rytm, lecz treść, która rytm stwarza, — myśl tak namiętna i żywotna, że posiada, podobnie jak dusza rośliny lub zwierzęcia, własną architekturę i wzbogaca przyrodę nowem zjawiskiem. Myśl i forma są sobie równe w istnieniu, ale w powstawaniu myśl wyprzedza formę. Poeta ma nową myśl: ma do obwieszczenia i opowiada nam, co się z nim działo, a cały świat wzbogaca się o jego szczęście. Doświadczenie każdej nowej generacji domaga się również nowej spowiedzi i świat zdaje się wciąż oczekiwać poety. Przypominam sobie z mej młodości, jak niesłychane wrażenie wywarła na mnie pewnego dnia wiadomość, że młodzieniec, który siadywał w pobliżu mnie przy stole, okazał się geniuszem.

Porzucił swe zajęcie, wędrował po świecie, niewiedomo gdzie, i napisał kilkaset wierszy, ale nie umiał po-

wiedzieć, czy mu się powiodło wyrazić w swych wierszach to, co się kryło w jego duszy: wiedział tylko to jedno, że wszystko wydało mu się zmienionem: ludzie, zwierzęta, ziemia, niebo i morze. Z jaką radością słuchaliśmy! Z jaką wiarą! Zdało się nam, że dawne społeczeństwo przestało istnieć. Otaczała nas jutrzienka nowego słońca, która miała przygasić blask wszystkich gwiazd. Boston zdał się nam dwa, lub nawet więcej razy, odleglejszym, niż dnia poprzedniego. A Rzym — czem był dla nas Rzym? Plutarch i Szekspir wydali się nam czemś przestarzałym i zbutwiałym, a o Homerze nie było odtąd mowy. Przecież to taka wielka rzecz wiedzieć, że właśnie dnia dzisiejszego, pod tym samym dachem, tuż obok nas powstało dzieło poezyi. Co?! Więc ten przedziwny duch jeszcze nie znikł? Więc te kamienne źrenice skrzą się jeszcze życiem! A ja myślałem, że wszystkie wyrocznie dawno już umilkły, że ognie przyrody już się wytlify. I oto patrz! Przez całą noc, wszystkimi porami, napływała znów ta cudna jutrznia! Dla każdego człowieka pojawienie się poety jest wielkiej wagi i nikt nie wie, jak bardzo może go to obchodzić. Wprawdzie wiemy, że tajemnica świata jest głęboka, ale kto lub co ją nam wytłómaczy, tego nie wiemy. Wycieczka w góry, nowy wyraz oblicza, czy nowy człowiek mogą nam dostarczyć rozwiązania zagadki. Wartość geniuszu polega naturalnie na prawdziwości jego wieszczzeń. Talent może igrać i żartować, geniusz stwarza nowe wartości. Ludzkość w zrozumieniu swej istoty i swego zadania dotarła już tak daleko, że jej przednie czaty mogą ze szczytów obwieszczać, co dostrzegły. Ich słowa są najprawdziwszemi ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wypowiedziano, ich wieszczby są dla swej epoki najwłaściwszemi, najmelodyjniejszymi, jedynie nieomylnemi głosami świata.

Wszystko, co nosi miano uświęconych dziejów, stwierdza, że narodziny poety stanowią najważniejsze wydarze-



nie chronologii. Ludzkość, aczkolwiek już nieraz rozczarowana, wciąż czeka na zjawienie się brata, który zdoła zniewolić ją tak mocno urokiem jakiejś prawdy, iż tę prawdę będzie musiała wchłonąć i przyswoić sobie na własność. Z jaką niewymowną radością poczynam czytać dzieło poezyi, które mi się wydaje naprawdę natchnionem! Oto teraz pękną moje łańcuchy, oto teraz wzlecę ponad te chmury i opary mroczne, wśród których żyję, — nieprzejrzyste, aczkolwiek przezrociami się wydają, — i z niebiosów prawdy ujrzę i przeniknę mą własną istotę, oraz jej znaczenie. Pojednam się z życiem i odrodzę się nanowo, gdy się do-  
wiem, jako jedna dążność przepaja ogniem i duchem drobiazgi życia, gdy uświadomię sobie swe własne porywy i czyny. Odtąd życie przestanie mi być czczym zgiełkiem, bo odtąd ujrzę męża i niewiasty i poznam znamiona, dozwalające ich odróżnić od błaznów i dyabłów. Przeto ten dzień będzie dla mnie świętszym od dnia narodzin moich: wtedy przyszedłem na świat, a dziś rozlega się wezwanie, abym przeniknął tajń czystego Poznania. Tego oczekuję, ale muszę odroczyć rozkosz spodziewaną. Częściej zdarza się, że ów uskrzydłony człowiek, który ma nieść mnie do nieba, porywa mnie na chmury, skacze i rzuca się ze mną po obłokach, zapewniając bezustannie, że jego droga wiedzie w niebiosy. A ja, jeszcze nieświadom, poznaję dopiero późno i zwolna, że on wcale nie zna drogi do nieba, i że tylko pragnie wywołać we mnie podziw dla zręczności, z jaką, na podobieństwo kury lub ryby latającej, unosi się w pewnej wysokości nad poziomem ziemi, czy wody; ale we wszystko przenikającym, wszystko ożywiającem, przeczystem powietrzu niebios on nigdy nie zamieszka. Przeto staczam się znowu w głąb mego starego zakątka, i po dawnemu wiodę życie opacznie, utraciwszy wiarę w istnienie przewodnika, któryby mnie do celu mych życzeń mógł doprowadzić.



Lecz zostawmy w spokoju te ofiary własnej próżności, i, zacerpnawszy otuchy na nowo, przyjrzyjmy się, jak z pomocą szlachetniejszych bodźców upewnia się przyroda, że poeta dochowa wiary swemu posłannictwu wieszczczenia; temi bodźcami są niepoliczone postacie piękności świata, która raz objawiona, staje się pięknoscią nową i wyższą. Przyroda nastęcza poecie wszystkie swe twory jako mowę symbolów. W każdej rzeczy, użytkowej jako symbol, objawia się drugie, przedziwne znaczenie, o wiele cenniejsze od pierwszego, właśnie jak w silnie napiętej linie cieśli, co gra słodko na wietrze, gdy przyłożymy do niej ucho. „Rzeczy, stokroć wspanialsze od wszelkiego obrazu, bywają wypowiedane przez obrazy“ — mówi Jamblichus. Rzeczy dają się stosować jako symbole, bo przyroda sama jest symbolem, zarówno w całości, jak w każdej swej części. Każda linia, którą kreślimy na piasku, ma swe znaczenie, i niemasz ciała, które byłoby pozbawione właściwego sobie ducha, czy geniuszu. Wszelka forma jest wytworem charakteru, każda sytuacja w życiu wynikiem sposobu życia, a wszelka harmonia następstwem zdrowia. Podstawą piękna jest konieczność. Duch kształtuje ciało, jak mądrze powiada Spencer:

*So every spirit, as it is more pure,  
And hath in it the more of heavenly light,  
So it the fairer body doth procure  
To habit in, and it more fairly dight,  
With cheerful grace and amiable sight.  
For, of the soul, the body form doth take,  
For soul is form, and doth the body make.*

Tu dostajemy się naraz z wygodnych ścieżek spekulacji krytycznej na święty grunt, po którym należy kroczyć przezornie i z czcią wielką. Oto stajemy przed ta-

jemnicą świata — tam, gdzie przeistacza się Jaźń w Zjawę, a Jedność w Wielość.

Wszechświat jest eksternizacją ducha. Ten objawia się wszędzie, gdziekolwiek jest życie. Wszelka nasza wiedza jest wiedzą zmysłów i dlatego powierzchowną. Ziemię i ciała niebieskie, zjawiska chemiczne i fizyczne badamy zmysłami, jak gdyby istniały same przez się, gdy tymczasem tworzą one jeno orszak naszej jaźni. „Wspaniałe niebo — powiada Proklus — ukazuje w swych transfiguracjach wyraźne obrazy przepychu intelektualnych uświadomień, pozostające w ścisłym związku z utajonemi okresami w życiu uduchowionych natur.“ Dlatego wiedza stoi zawsze na tym samym poziomie, co człowiek, i w swoim rozwoju dotrzymuje kroku religii i metafizyce, czyli innymi słowy: stan wiedzy jest wskaźnikiem naszego samopoznania. Ponieważ wszystko, co w przyrodzie istnieje, odpowiada pewnej sile duchowej, przeto jakieś zjawisko może tylko tak długo i dlatego być niepojętem i ciemnem, że w badaczu dotycząca zdolność nie stała się jeszcze siłą czynną.

Przeto nic dziwnego, że z uczuciem świętej grozy zawisamy nad takimi głębiami. Piękność baśni świadczy poecie, oraz wszystkim innym, o ważności jej znaczenia; lub, wyrażając się inaczej, — każdy człowiek jest poetą o tyle, o ile zdolen jest do odczuwania tych czarodziej-skich sił przyrody, albowiem we wszystkich ludziach tają się myśli, których przebóstwienie tworzy wszechświat. Mnie się zdaje, że cały czar zamyka się w symbolu. Kto kocha przyrodę? Kto jej nie kocha? Czy tylko poeci i ludzie wykształceni obcuja z nią w chwilach wytchnienia? Nie, lecz także strzelcy, chłopci, fornale i rzeźnicy, aczkolwiek miłość do niej objawiają w wyborze zawodu, a nie w doborze słów. Uczony zastanawia się ze zdziwieniem nad tem, co właściwie stangret lub strzelec ceni

tak bardzo w jeździe konnej, psach i koniach. Rzecz prosta, nie powierzchowne ich właściwości. Pomówmy z którym z nich, a przekonamy się, że te są dla nich niewiecej warte, niż dla kogobądź innego. Ich zamięłowanie wynika z bujnej sympatii, która ich z temi rzeczami wiąże; nie umieją oni tego wyrazić, lecz poddają się kierownictwu żywej siły, której obecność w przyrodzie przeczuwają niejasno. Żadne naśladownictwo, żadna igraszka z temi rzeczami nie potrafiłaby ich zadowolnić; oni lubią surowość wichru, deszczu, lasów, skał i żelaza. Piękność niepojęta jest cenniejsza od tej, której zakres i trwanie da się przewidzieć. Symboliczna to strona przyrody, przyroda to, dająca zapewnienie świata nadprzyrodzonego, ciało, rozkwitłe nadmiarem życia, jest przedmiotem ich prostackiego, lecz szczerzego uwielbienia.

Gorącość i tajemniczość tego głębokiego przywiązania zniewala ludzi wszelkich stanów do posługiwania się znakami i emblematami. Szkoły poetów i filozofów nie są bardziej oczarowane swemi symbolami, jak pospólstwo swojemi. Dość zastanowić się nad ogromnem znaczeniem odznak i emblematów w naszym życiu politycznem. Na przykład, ta wielka kula, którą toczą z Baltimore do Bunker Hill! Albo polityczne manifestacye, podczas których Lowell paraduje ze swym warsztatem tkackim, Lynn ze swym trzewikiem, a Salem z okrętem! Lub te becзки do wina, blokhauzy, gałazki orzechowe, palmy karłowate, i niezliczona mnogość innych godeł partyjnych! A cóż dopiero, gdy uprzytomnimy sobie potęgę emblematów narodowych! Kilka gwiazd, lilij, lub lampartów, jakiś półksiężyc, lew, orzeł, lub inne wyobrażenie, które, Bóg wie, w jaki sposób doszło do takiego znaczenia, nakreślone na starym strzępie flagi, targającej się z wichrem na szczycie fortu w jakimś zakątku ziemi, może zażędz krew najbardziej prostackiego i najpłytszego człowieka. Ludzie wyobra-

zają sobie, że nie cierpią poezyi, a sami są wszyscy poetami i mistykami!

Prócz powszechności symbolicznego języka, boskość owego szczytniejszego użytku rzeczy — (przezeń świat staje się świątynią, której mury są pokryte godłami, wizerunkami i przykazaniami bóstwa) — przejawia się także w tem, że niema zjawiska w przyrodzie, któreby nie zawierało w całości ducha przyrody; albowiem wszystkie nasze podziały faktów i okoliczności, na wysokie lub niskie, zaszczytne lub hańbiące, wnet zanikają, gdy pocznem pojmovać przyrodę symbolicznie. Wszechprzenikająca idea uświęca użytek wszystkiego; słownik wszechwiedzącego człowieka obejmowałby słowa i powiedzenia, wyswiecone z języka salonów. Słowa płaskie, lub nawet sprośne dla sprośnika, mogą stać się szczytnymi, gdy wejdą w skład nowego myśli powiązania. Wzniosłość proroków hebrajskich każe nam zapominać o ich prostactwie. Obrzezanie jest przykładem, że potęga poezyi uszlachetnia nawet to, co poziome i gorszące. Drobnе, niepozorne rzeczy są tak samo przydatne jak wielkie symbole. A nawet, im mniej znaczącym jest symbol, przez który wyraża się jakaś prawda, tem skuteczniej wraża się ona, tem dłużej przetrwa w pamięci ludzkiej, podobnie, jak do przechowania niezbędnych przyrządów, które zwykliśmy nosić przy sobie, wybieramy najmniejszą szkatułkę, czy skrzynkę. Umysłem, wyposażonym rzutkością i wyobraźnią, rejestra niepowiązanych ze sobą słów nasuwają nowe idee. Opowiadają o lordzie Chatham'ie, że czytywał słownik Bayle'a, gdy miał zamiar przemawiać w parlamencie. Najzwyklejsze doświadczenie jest tak szczodre, że może przyjść z pomocą przy wypowiedaniu myśli. I pocóż ta nieustanna tęsknota do poznawania wciąż nowych szczegółów? Dzień i noc, dom i ogród, trochę książek i trochę czynów dają nam to samo, co wszelki przemysł i wszystkie osobliwości. Do



wyczerpania treści tych nielicznych symbolów, któremi się posługujemy, jeszcze nam daleko. Możemy dojść do tego, że będziemy ich używali ze straszliwą wręcz prostotą. Wiersz nie powinien być długi. Niegdyś każde słowo było poematem. Każdy nowy stosunek stwarza nowe słowa. Nawet błędów i potworności używamy do świętych celów, i przez to stwierdzamy, że zło tego świata tylko złemu oku złem się wydaje. Starożytna mitologia nawet bóstwom przypisywała ułomności, czyniąc Wulkana kulawym, Kupidą ślepym, i t. d., aby przez to wyrazić nadmiar i obfitość w innym kierunku.

Rzeczy wydają się brzydkimi jedynie wskutek rozluźnienia i osłabienia spojeń, łączących życie z bóstwem, a poeta, który zespała je znów z przyrodą i wszechnością, który dzięki głębszemu wniknięciu jedna z przyrodą nawet sztuczne i wręcz jej przeciwne rzeczy, — z łatwością umie sobie radzić z biegunowo niezgodnymi przejawami. Czytelnicy, obeznani z dziełami poezji, patrząc na wieś fabryczną, lub kolej żelazną, wyobrażają sobie, że one przynoszą uszczerbek poezji krajobrazu, — bo te rzeczy nie zostały jeszcze w ich lekturze uświęcone przez sztukę; natomiast poeta dostrzega łącno, że z wielkim wszechładem godzą się one równie dobrze, jak ul pszczelny, lub misterna sieć pajaka. Przyroda bardzo rychno chłonie je w obręb swych kręgów żywotnych i kocha w dal pędzący pociąg niemniej od własnych tworów. A przytem jasnym i skryształizowanym umysłem niezbyt imponują wynalazki mechaniczne. Choćbyście do istniejących już przydali milion nowych i najbardziej zdumiewających, nie pomnożycie przez to istoty mechaniki ani o jedną drobinę. Duchowe znaczenie powstaje niezmiennie bez względu na ilość szczegółów, podobnie jak niema góry tak wysokiej, aby zdołała przerwać krzywiznę kuli ziemskiej. Sprytny chłopak wiejski przybywa po raz pierwszy



do miasta, i zarozumiałały mieszczech gorszy się, że przybysz niedość słupieje z podziwu. Nie dlatego, aby tych pięknych domów nie widział, lub nie wiedział, że podobnych nie zdarzyło mu się jeszcze oglądać, lecz poprostu z tego powodu, iż załatwia się z nimi równie łatwo, jak poeta znajduje miejsce na kolej. Główna wartość nowej rzeczy polega na podniesieniu wielkiego i stałego momentu życia, wobec którego karleją wszystkie inne przejawy, dla którego pas Indyanina i cały handel Ameryki mają równe znaczenie.

W ten sposób świat podlega duchowi jako słowo i jako rzeczownik, lecz tylko poeta potrafi tą mową władać. Bo, aczkolwiek życie jest wielkie, pełne czarów i głębin, aczkolwiek wszyscy ludzie rozumieją symbole, któremi się ono wyraża, — przecież nie wszyscy mogą posługiwać się nimi samodzielnie. Jesteśmy symbolami i zamieszkujemy symbole; robotnicy, praca i narzędzia, słowa i rzeczy, narodziny i śmierć, to wszystko tylko symbole; lecz my za bardzo przywiązujemy się do tych symbolów i, opętani zwykłem, ekonomicznem znaczeniem rzeczy, zapominamy, że one są ideami. Poeta, który głębiej wnika w istotę rzeczy, użycza im siły, dozwalającej zapomnieć o ich dawnem znaczeniu, obdarza nieme i martwe przedmioty oczyma i językiem. On rozumie niezależność idei od symbolów, niezmiennosc idei, przypadkowość i niestałość symbolów. Podobnie jak wzrok Lynkeusa przenikał ziemię, tak samo poeta zamienia świat w szkło przejrzyste i ukazuje nam właściwy ład i następstwo wszechrzeczy. Albowiem dzięki swemu lepszemu poznaniu jest on im o jeden krok bliższy, widzi ich falowanie i przemiany, wie, że wszelka idea jest wielopostaciową, że w kształtach każdego tworu tai się moc, zniewalająca go do zdobywania wyższej formy, i tak śledząc stawanie się życia, posługuje się temi samymi formami, w których to życie się przejawia, wskutek

czego słowa jego płyną wraz z nurtem przyrody. Wszelkie przejawy biologiczne, jak płeć, odżywianie, ciąża, narodziny i wzrost, są symbolami przejścia świata w ducha człowieka, aby w nim uleść przemianie i ujawnić się znów w nowem, doskonalszem znaczeniu. Poeta posługuje się kształtami, odpowiadającymi życiu wewnętrznemu, nie zaś czczej formie. To jest prawdziwa wiedza. Tylko poeta zna się na astronomii, chemii, wzroście roślin i biologii, bo, nie zatrzymując się przy objawach, zastosowuje je jako symbole. On wie, dlaczego przestwór niebieski jest usiany kwiatami, które my słońcem, księżycem i gwiazdami zowiemy; dlaczego w bezdennych głębiach mrowią się zwierzęta, ludzie i bogowie; bo z każdym słowem, przez siebie wypowiedzianem, dosiada on ich jako rumaków ducha.

Mocą swej wiedzy, poeta jest nomenklatorem, twórcą mowy, który rzeczy mianuje bądź to wedle ich przejawów, bądź też wedle ich istoty, który każdej z nich nadaje właściwą jej nazwę i przez to wprawia umysł w ów zachwyt, jaki przy stosownym rozdziale i rozgraniczeniu zazwyczaj odczuwamy. Poeci stworzyli wszystkie słowa, a język to nie tylko archiwum dziejów, to poniekąd i Muz grobowiec. Aczkolwiek początek przeważnej ilości słów zanikł już w zapomnieniu, to przecież każde słowo było niegdyś błyskiem ducha, skrå geniuszu, i dlatego dostawało się w obieg, że w swoim czasie symbolizowało świat temu, który je wypowiedział, i jego słuchaczom. Etymologowie utrzymują, że doszczętnie zmartwiałe słowa były ongi świetnymi obrazami. Język, to poezya kopalna. Podobnie jak wapień łądów stałych powstał z niezliczonej mnogości skamieniałych skorupiaków, tak samo język składa się z obrazów i przenośni, które swój poetyczny początek zdawna już w pochodnem znaczeniu zatraciły. Lecz poeta nadaje rzeczy właściwą nazwę, bo ją widzi, bo jest jej

o krok bliższym, niż ktokolwiek inny. To nadawanie wyrazu, to mianowanie nie jest sztuką, lecz wtórą przyrodą, która poczyna się z pierwszej, podobnie jak liść z drzewa się poczyna. To, co zwiemy przyrodą, jest regulującym się samoistnie ruchem i zmianą; przyroda dokonywa wszystkiego własnoręcznie i nie pozwala chrzcić się nikomu, lecz chrzci się sama, a to znów dzieje się przez metamorfozy. Przypominam sobie, że pewien poeta opisał mi to w następujący sposób:

„Geniusz jest to czynność, zapobiegająca zanikowi rzeczy bez względu na to, czy są one — w całości, lub w części—materyjalnej i znikomej natury. Przyroda zabezpiecza siebie samą we wszystkich swych dziedzinach. Nikt nie troszczy się o rozmnożenie marnego grzyba: przeto on rozsiewa wokół siebie niezliczone mnóstwo zarodków, z których jeden jedyny wystarcza, aby jutro lub pojutrze wytworzyć nowe biliony zarodków. Nowy grzyb w ten sposób powołany do istnienia, może mieć korzyści, których poprzedni nie miał. Oto zarodek jego posiewu pada na nowe miejsce, nie narażone na działanie przypadku, który opodał zniszczył jego rodziciela. Przyroda stwarza człowieka, a gdy ten dojrzeje, odszczepia od niego nowe istnienie, aby nadal uniknąć niebezpieczeństwa, że swój twór cudowny naraz postrada; w ten sposób chroni gatunek przed wypadkami, na które są wystawione jednostki. Podobnie, gdy dusza poety osiągnie swą dojrzałość, przyroda oddziela od niej utwory i pieśni, to nieśmiertelne, snu ni spokoju nie znające, na zmienne losy czasu nienarażone potomstwo, tę śmiałą żywotną gromadkę dzieci obdarzonych skrzydłami, — (tak wielka była moc duszy, która je poczęła), — na których unoszą się chyżo i daleko i zagnieżdżają się przemocą w duszach ludzkich. Im bogatsza i piękniejsza jest dusza poety, tem potężniejsze są te skrzydła. I tak ulatują nieśmiertelne pieśni od swego

śmiertelnego twórcy, a za nimi podążają hałaśliwe chorowody łączących krytyk, które roją się w daleko większej ilości i czyhają, aby je pochłonać; lecz krytykom brak skrzydeł. Po krótkim locie spadają one na ziemię i gniją, bo dusze, z których się poczęły, nie wyposażyły ich pięknymi skrzydłami. A melodye poety wzlatują potężnie w górę i wdzierają się w głębie nieskończonego czasu.“



(Dokończenie).

Ralph Waldo Emerson.



Jąłem ścigać jak w snach...

*Jąłem ścigać jak w snach pierzchające pobiały,  
Pierzchające pobiały mroczącego się dnia;  
Na wieżycy-m szedł gmach, i pod nogą mi drżały,  
I pod nogą się chwiały schodów próchno i rdza.*

*A gdym stąpał tak wzwyż, coraz jaśniej w oddali,  
Coraz jaśniej w oddali kontur znaczył się gór,  
I od nieba i ziemi, z napowietrznej mi fali,  
Z napowietrznej wkrąg fali jakichś dźwięków bił chór.*

*Im krok wyżej mię niósł, tem gorętszą poztotą,  
Tem świetniejszą poztotą wyżni sennych lśnił wierzch,  
Zdał się zegnać tą jaśnią, niby długą pieszczotą,  
Niby tkliwą pieszczotą wzrok tulący się w zmierzch.*

*I tam w dole pode mną już noc ziemię zalała,  
Już noc ziemię zalała, świat pogrążył się w śnie,*



*A mnie jeszcze jaśniała płomienista dnia chwala,  
Przestonieczna dnia chwala konająca we mgle.*

*I, jak ścigać, tu-m zgadł, pierzchające pobiwały,  
Pierzchające pobiwały zmroczniałego już dnia,  
I stąpałem wciąż wzwyż, i pod nogą mi drżały,  
I pod nogą się chwiały schodów próchno i rdza.*





I.

mijały czasów ogromy, i przestrzeń nikła bez śladu, w jeden nurt nieskończoności zlana.

A ogromne kręgi słońc małały wobec braku widza i oceny... i przewijały swe potężne cielska martwo, z biernem poddaniem i pokorą...

A na skorupie ziemi lasy w górę wywodziły rozkręcone bólem ręce, modląc się, aby nadal mogły żyć wrosnięte w ziemię, nieruchome...

Zwierzęta podnosiły oczy, nie wiedząc nic ponad zwierzęcość...

A i ludzkie kretowiska wrzały zgłębkiem natarczywych starć atomów, natarczywych, pilnych zepchnięć w nicość, uporczywych trosk, małostek...

Tu i owdzie stał marzyciel, stał myśliciel, patrzył w gwiazdy, wyroku czekał i, zwarłszy boleśnie ducha, gotował się do odlotu w pełny stan istnienia...

A tysiące istot przygotowanych na nicosć, ze zwierzęcą namiętnością nicosći żądnych, plugawiących się rozmyślnie lub świadomie... nikły jak śnieg na wiosnę...

A wiosna nowe przynosiła życia, nowe ziarna, nowe głosy...

I te szły i nikły...

I nie było końca, we wszystkim tem nie było końca...

Wszystko musiało iść za niewidzialnym wodzem, nieugiętym, wszechpotężnym...

I nie było końca w tem, nie było końca... Z nicosći szedł byt, zapadał w nicosć... lub znowu szedł promienny, bólem okrwawiony, błogosławiący swoją krew i rany...

## II.



akie pogodne, jasne, promienne było niebo!..

Złotemi smugami sływały jakieś powiewy zaświatów i żęgływały przez błękity...

Zahaczone tu i owdzie o siną nieba kotarę białe obłoki wisały nieruchomo, jak srebrne tarcze, kwiaty, girlandy...

Korony drzew z przedziwnym taktem zachowywały się milcząco, spokojnie, majestycznie wobec sonej kopuły nieba...

Woda jakby zaniemiała z zachwyty i prosiła, aby mogła być chociaż zwierciadłem, któremu wolno cuda te odbijać...

A niebiosy zgadzały się na to chętnie i jak rozkosznica czar-dziewica, srebrnopucha niebieskooka dziewczica, z niedbałym wdziękiem przeglądały się w wodzie...

Zdawało się, że nic nie powinno byłoby mącić tej ciszy, ale nie...

Oto — najpierw jastrząb chciwie porwał gołębia, białego jak śnieg, i niósł go z bezczelnem urąganiem ponad wodami, które zmarszczyły się groźnie, nie chcąc odbijać tej ohydy...

Ale niebawem woda stała się jeszcze groźniejszą, niż gdy odbijała przez chwilę mord jastrzębia, bo oto dziecko o precudnej twarzyczce anioła stoczyło się w jej nurty...

— Ehe... he... kiedy woda tak sobie figluje, to możebyśmy i my się pobawiły... — mówiły obłoki — i zaczęły się skupiać jak srebrnopióre ptaki w jedno stado ogromne.

I drzewa pozazdrościły obłokom i zaczęły szumieć groźnie, wyzywająco.

Niebawem szum zawichrzył ciszę i, przechodząc w groźne pomruki i wrzaski i bełkotania, niósł za sobą burzę.

Ta w jednej chwili zamordowała ciszę i zwycięsko ujadła piorunami nad martwą, urągając i złorzecząc jej...

A drzewa jeżyły grzbiety jak psy i woda bełkotała, urągając ciszy.

Grom po gromie zahuczał... i pożar wsi odbił się krwawą barwą na granatowej nieba oponie...

Jeszcze tam więcej było jęków, huków, grzmotów, targań...

Nietylko gołąb i dziecko mogły narzekać na swój los.

Tylko, że dziecina uspokoiła się na łonie Boga... a po warkotach i wrzaskach burzy przyszła jeszcze większa cisza, po której przeszło znowu wiele burz i nastąpiła znowu cisza.



## III.



orwało go coś i uniosło...

Z tej ziemi, gdzie wszystko jednakie i niezmiennie, choć się zmieniające...

I był w takich światach, których język ludzki, dlatego że ludzki, nie oddaje, którego myśl ludzka dlatego, że jest ludzką, nie rozumie...

Od chwili, gdy to widział — we dnie czy na jawie, dość że widział—zmienił się, nie narzekał na ziemskie troski i bóle... ale wciąż tęsknił do krain tych przedziwnych nieskończenie i nieskończenie uroczych...

Chciał się nieraz podzielić swą tajemnicą... Ale — napróżno...

Wstydził się nieudolnych znaków, którymi miał wyrażać tę przedziwną treść...

I nie próbował więcej, i ogarnęła go słodka tęsknica — melancholia...

Wybladły, chwiejąc się, ledwo stąpał po ziemi, otchłania smutku patrząc na ziemię i jej sprawy...

I tak raz umarł w zachwyceniu i tęsknocie, zgasł jak świeca, przez wicher zdmuchnięta...

Nikt nie płakał nawet po nim, bo się od wszystkich oddalił...

Ale i on sam pewnie, w tych swoich krainach ukochanych, nie płacze za ziemią, albo jeżeli płacze, to — żeby i inni — biedni, w tę otchłań nędz wlepiani, mogli się do nieskończenie uroczych i dziwnych krain przedostać...

## IV.



koro tylko ze zwierzęcą siłą wybuchnął w nim żar namiętności — zmienił się ogromnie...

Z bladego, cichego marzyciela wyrastał filuterny cynik, z cynika — brutal, z brutala — wia-rołomca i bluźnierca...

Z dzikim chychotem zaprzepaszczał swą duszę, chłepcąc z rozkoszą słodki jad zwierzęcości...

I nie widział przed sobą innego celu, innych zadań, prócz celów i zadań zwierzęcości...

Z płaczem przelatały nad nim zbawcze anioły, a chychot szatana był radości pełen...

I pokazywał mu szatan swoje państwa, pełne wspa-niałości i przepychu... Srebrnymi gwiazdami wśród si-nych przestrzeni błyskały światła-kwiaty... Jak ogromne

muszle przejaskne, piętrzyły się góry w oslepiających blaskach...

A w dali huczał złoty ocean i nurzały się w nim przewspaniałe nimfy... a lasy, granatowo-purpurowe lasy, pełne były śpiewu nagich syren...

I już miał zgodzić się na zatracenie wiekuiste duszy, gdy wtem nagły, dziwny, straszliwy ból chwycił go w swoje kleszcze...

Wstręt wstrząsnął nim, wstręt do samego siebie...

I nagle dusza poczęła protestować z całych sił i wołać o ratunek, o pomoc do wiekuistego źródła przebaczenia, do Zbawcy...

I poszedł do Zbawcy po przez ciernie, krwawiąc stopy... i bity i kąsany przez harpie sumienia...

A szatan wykroił dla siebie zakażone zwierzęcością części i rwał je i targał...

I chciał powrócić do szatana i do tych części swoich...

Ale głos Zbawcy był silniejszym nade wszystko...

I kurcząc się i płacząc... szedł męką rwany...

## V.



uż kilka tylko gwiazd na niebie oczekiwało w popłochu i trwodze swego losu.

Świt oslepiąco jasną nogą wszedł już na ziemię.

Aż dziwiły się ptaszęta, że tak krótko trwała noc, i ćwierkały bojaźliwie i niepewnie.

Woda także bulgotała niepewnie i przecierała ze snu oczy, które świt rozjaśniał.

Aż świt spłonął krwią.

Na łązy, oczerety, na dalekie smugi łąk poszedł blask czerwony.

Wkrótce potem wyzłocona, jasna ziemia kąpała się w blaskach słońca.



## VI.



eszcze wlepiali bezdennie smutny, badawczy wzrok w trumnę, gdzie leżał ich ukochany... Jak wygląda — po raz ostatni, po raz ostatni, najostatniejszy?

Może choć jednym uśmiechem, drgnieniem wypowie dusza, gdzie jest, czy dobrze jej, czy źle?..

Umarły nie odpowiadał nic. Był tylko bardzo blady, spokojny, sztywny.

Wyglądał jak dumny dyplomata, który nosi ze sobą tajemnicę gabinetu, i nie może się zwierzyć, i nie chce się zwierzyć.

A takby chcieli, żeby choć raz jeszcze ostatni do nich przemówił, tym dobrym, cichym, łagodnym głosem... och, po raz ostatni!..

I nic, nic, nic więcej... Oni byliby nazawsze szczę-

śliwi, uspokoiliby się zupełnie, byliby nawet weseli, gdyby po raz ostatni przemówił.

Ale umarły nie odpowiadał nic.

I wystawili sobie, że przecież są krainy inne, jakieś przezroczo-śpiewne równiny, kwiatami, czy nie-kwiatami zasłane, pełne złotych nurtów wód czy nie-wód, dość, że jakieś tam rzeczy-nierzeczy są, być muszą, muszą, bo i ból ma przecie kres...

I gdy mgła smutku dokoła wszystko zasnuła, ujrzeni krainy jakieś, krainy przedziwne, których za życia jeszcze nie oglądali, ale które razem z ukochanym zmarłym zawsze, zawsze oglądać będą.

I to ich tak uspokoiło, że patrzyli na zmarłego, jak na odzież, którą ten zrzucił, aby pójść do tych precudnych krain, ubrany inaczej, dziwnie, gwiazdziście, promiennie.

I tylko — kiedy ból się zmniejszał i nie widzieli tych krain precudnych, chcieliby, ażeby zmarły po raz ostatni przemówił, po raz ostatni, najostatniejszy.

## VII.



zmiarkować nie mogli, kto był winien.

Wszyscy może byli winni, może — nikt.

W każdym razie, jeśli się stał grzech, nieszczęście, trzeba było radzić.

Radzono więc.

Ale nic uradzić nie mogli, byli coraz bezsilniejsi, w miarę im głębiej zapuszczali się w dociekanie przyczyny.

Nie zrażali się tem i z coraz większą zaciekłością szukali wątku.

Ale napróżno, napróżno!

Najwinniejszy był bez winy, najbardziej niewinny — winnym.

A przyczyna była. Życie wrzało dookoła i niosło

nurty ożywcze lub zabójcze, niosło truciznę i lekarstwo,  
troski i radości.

Słońce błyszczało wciąż nieniknącą siłą, i rozpałało  
nowe ognie życia.

Noce granatowe, gwiaździste przechodziły tłumem po  
nad ziemią.

A ona wirowała wciąż koło słońca, posłuszna woli  
Przedwiecznego.

Aż jednego razu usłyszeli jakiś głos z oddalenia:

Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni.

I nie sądźli i nie narzekali, ale szmerem modłów go-  
rących dochodzili przyczyny i winy.

A życie wciąż łkało swemi bólami.

## VIII.



kochali się tak dziwnie, że każde słowo było im zbyt ciężkie.

Błyskawicami spojrzeń mówili wciąż do siebie.

I nie mogło w tej miłości być nic zabawniejszego nad to, że, kochając się tak mocno, nie kochali się wcale, ale byli w sobie, bo byli jednacy, bo byli dwoma białymi jednakimi duchami.

Nie czuli potrzeby ani jednym pocałunkiem powiedzieć sobie o swej miłości, a w istocie — jedności.

A najgorsze było to, że ciała przeszkadzały im się rozpoznać, więc pełni byli błędu, czyli miłości...

Aż nadeszła taka chwila, w której dowiedzieli się o swym błędzie... że grzeszyli miłością, póki ludźmi byli, a potem...

A chwilą tą była śmierć...

Po śmierci już dowiedzieli się, że miłość, sama z siebie, z Boga i w Bogu jest, a uwielbiać siebie zobopólnie i wzajem siebie kochać, czyli kochać się — to rzecz tylko ludzka.



## IX.



tali jak oczarowani, oniemiałi. Słońce lało na nich złote żaru potoki, a oni stali i patrzyli w dal.

Nie bali się niczego... nie bali się żaru słońca, i ani jednego dźwięku nie chcieli wydać.

Naradzali się w skupieniu, co czynić. Bez słów i myśli zrozumieli w końcu, że tu im przeznaczono stać i czekać.

Tu... tu... wśród tego żaru słońca, niepewności, niemego podziwu, jednostajnej, wszystko przenikającej tęsknoty.

Cmentarze nie są tak smutne, jak smutni byli oni, niepogrzebani, choć jakby umarli, nawpół umarli, dla świata tego umarli, dla świata, którego zrozumieć nie byli zdolni.

Chęci, czucia zwierzęce zamarły w nich, zmysły zastygły... i oto zimni, niepewni, niewiedzący, w strasznej, bezdennej wiedzy innej niewiedzący... stali i nie wiedzieli, gdzie iść, co począć?

Gorącemi tchnieniami dmuchał wiatr... morze zieloni falowało swobodnie i rozkosznie... wierzby płaczące poszmerami płakały... las trzął się w złotych połyskach, trzepotał się jak ogromny, zielony ptak pod sinym pałapem... a wody strugami łez bryzgały i huczały... i szły na miejsce przeznaczenia.

Cmentarze, pochowawszy kości pod zielone grzbiety, stały cicho, niewinnie, naiwnie, jak ci, co nie wiedzą, jaka to straszna rzecz się w nich dzieje, lub udają, że nie wiedzą, i w niemej zadumie topią bólu świadomość.

A organy huczały w kościołach, wrzały hymnami i biły w sfalowaną kadzidłami przestrzeń... gorąco grzmiały i stanowczo... modlitwą za ludzi, za żywych i umarłych.

A oni wciąż tak stali, słuchali modlitw, niepewni, niewiedzący, ulegając tym szumom i akordom, nie sprzeciwiając im się, godząc się na wszystko, na bezgraniczną melancholię i swój los, o którym nie wiedzieli, jakim jest...

## X.



harfami przyszły starce i grały.

A noc miesięczna sino-srebrnemi nurtami płynęła w dal.

— O harfowe starce, jeszcze mi grajcie, jeszcze mi śpiewajcie o tych krajach, o tych rajach, w których szczęście nigdy się nie kończy, w których wszystko żyje, co żyje, i nie umiera to, co raz już umarło, co raz na zawsze żyć będzie.

Tak mówił młodzian wśród lasu, księżycowymi blaski otoczony, młodzian, co miał smutną bezdennie twarz i którego noc miesięczna ukoić nie mogła.

A harfowe starce, nachylone smutnie nad nim, śpiewały o tych krajach, gdzie nic, nigdy nie umiera, ale wszystko żyje wiecznie.

A młodzian łkał i łkał... pod struny i dźwięki i jęki łkał... jakby w tem łkaniu były piosenki o tych krajach,

o rajach, gdzie nic nigdy nie umiera, ale wszystko żyje wiecznie.

A starce śpiewały, i żaden nie jęknął, choć się im głos rwał z bólu, aby pieśń wyśpiewać o tych krajach, o tych rajach...

I noc miesięczna płynęła wolno.

Zasłuchany księżyc srebrem ziemię oblewał, i tak w te harfy zapatrzony, w te starce, w młodziana, jak zamysłony mędrzec po niebie wędrował.

A wkoło starców, a wkoło młodziana zlatywać się poczęły duchy.

I szum i łopot skrzydeł zasłaniał wszystko, i tak ta ciżba stanęła w skupieniu i słuchała.

A starce harfowe wciąż śpiewały, wciąż grały.

Noc miesięczna pierzchała. Kur zapiał. Duchy z szumem uciekły, i starce gdzieś z harfami przepadły.

A młodzian samotny, w rodzące się świty wpatrzony, wciąż marzył o tych krajach, o tych rajach, gdzie nikt nie umiera — nigdy.

## XI.



związali z sobą chorągwie.

A było ich tak wielu — orszak taki tłumny!

Tacy byli ogromni w swym bólu i pobożności.

I wicher ciągle grzmiał w chorągwie.

Słońce srebrno-bronzo-  
wym blaskiem biło im  
w oczy.

Tysiące przeszkód mieli  
przed sobą.

A jednak szli coraz wytrwa-  
lej, coraz uporczywiej, szli, niewie-  
dząc dokąd.

Aż zahuczała pieśń: *De profundis*.

Grom tej pieśni był posepniejszy od skał ciemnych,  
zwieszonych nad przepaścią, posepniejszy od orłów sa-



motnego krążenia, od chmur i zimy uśnieżonej w purpurze zachodniego słońca.

Taki był posępny ten orszak i pieśń ta, co huczała im po nad głowami i wyrywała się, jakby nie z nich, jakby pieśń była większą od nich, a oni byli w pieśni.

Wężowym skrętem, wszedł orszak w nowe przestworza, w sine urwiska skał granatowych, między srebrnymi nurtami wód nieskończonych.

A pieśń wciąż łkała, i słońce nie stawało się weselszem, jeno było takie smutne, zbolące, przygaszone, resztkami sił, resztkami tchu gorącego chuchało na ziemię.

I kiedy weszli na jasno-zielone murawy, z kąd z krzykiem trwożnym podniosło się dziwne jakieś ptactwo, — tak samo byli ogromni w swym bólu, tak samo łkała pieśń, tak samo wicher grzmiał o chorągwie, tak samo słońce było zbolące, przyciszone.

Władysław Korycki.

## Potępione.

*Jak trzoda rozciągnięte na piasków postaniu  
W bezkresy widnokregu zwracają oblicze —  
A w ich bioder zbliżeniu, w ich dłoni zbrataniu,  
Widne — miękkość niemocy i dreszczów gorycze.*

*I jedne, zasluchane w serdeczne zwierzenia,  
Idą w lasu — ruczaju — szumiące bezdroże,  
I miłości swej pierwszej rozsnuwszy wspomnienia  
Rzeźbią jakieś litery w drzew zielonej korze.*

*A drugie, niby siostry, w ciszy i skupieniu  
Błądzą w pełnej widziadeł skalnej pustce szarej,  
Gdzie oczom Pustelnika ongi w skier płomieniu  
Białych piersi kuszące odkryły się czary.*

*Inne znowu, jak zwierzę wyjące swe skargi,  
W głębi jaskiń pogańskich szukają schronienia*

*I ciebie przyzywają spalonemi wargi,  
O Bachusie! co gorycz usypiasz wspomnienia!*

*I te jeszcze, co łona szkaplerzem ubrane,  
Krwawym śladem piętnują biczącej ręki,  
Płaszczem nocy okrywszy swe ciała zszarpane  
Rozkoszy krzykiem głuszą mąk bolesne jęki.*

*O Demony — potwory — dziewice męczenne!  
O wy niespełnionemi wciąż dręczone snami,  
Spragnione nieskończenia, grzeszne lub promienne,  
Czasem krzykiem rozgłośne, czasem ciche łzami,*

*Kocham was i żałuję, o siostry tułacze,  
Duszy waszej piekielną przeczytawszy księgę,  
Za niesytość pragnienia, za tęsknot rozpacze  
I za wielkich serc waszych miłosną potęgę.*



PRZEŁOŻYŁA K. Zawistowska.

Karol Baudelaire.



Z cyklu: „Dziewczęta — kwiaty.“

CÓRA KRÓLEWSKA.

*Prosząc jałmużny — w Tulijskie grody —  
Zaczarowany szedł minstrel młody  
I pieśnie w stare miast Tulii grody.*

*I Ysselmondzką nastrojał lutnie,  
Wtórząc baladom rzewnie i smutnie —  
Łzami więc dziewy witały lutnie.*

*Raz on królowę w łowczym orszaku  
Na białym pysznym spotkał rumaku  
I ust jej pragnął — tu w tym orszaku.*

*Za drobną dłonią królewskiej córy  
Białych gołębic leciały sznury. —  
Więc za dłoń chwycił królewskiej córy.*

*I wołać chciała ojca i króla,  
Lecz on jej szyję dłońmi zatula —  
I nie wołała już ojca króla.*

*I nieruchome ciało dziewczyny  
Niósł w ros kryształę, w kwiatów gęstwiny.  
I zaśpiewały usta dziewczyny...*

*Cudną baladę śpiewały smutnie —  
Wtórząc jej, minstrel przyciszał lutnię,  
By za jej głosem nuciła smutnie.*

*Lecz gdy miłosna ścichła balada,  
Słodkie jej usta przymkła śmierć blada,  
Gdy potępiona ścichła balada.*

.....  
*Żebrząc pokornie — w Tulijskie grody  
Zaczarowany szedł minstrel młody  
I dziw swych pieśni niósł w Tulii grody.*

*I Ysselmondzką swą lutnią śpiewną  
Grał wciąż tę samą baladę rzewną,  
Biorąc łzy dziewic na lutnię śpiewną.*





YSEULT.

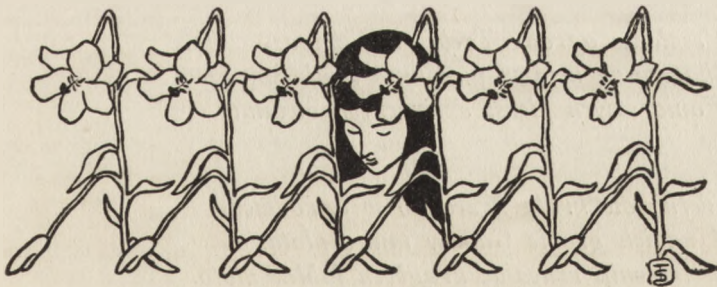
*Gdy noc zastonę tkala na błoniach,  
Grzebano Yseult o białych dłoniach.  
A król czarodziej te dłonie białe  
We dwie przemienił lilie wspaniałe,  
Aby w Tulijskiej kwitły koronie...*

*I ciężki warkocz ujął we dłonie,  
I bladą głowę w złotej koronie,  
I kazał powstać wstędze świetlanej  
Ze złotych włosów swej ukochanej,  
A czaszkę w Tulii puhar przemieni.*

*W puharze wino łzami się pieni,  
Więc czarodziejskie zerwał lilije,  
Świetlaną wstęgą owinie szyje,*

*Świetlaną wstęgą szyję otoczy,  
I zwisł na złotej wstędze warkoczy.*

*Gdy noc zasłonę tkala na błoniach,  
Grzebano Yseult o białych dłoniach,  
Grzebano także, razem grzebano  
Króla z Yseultą umiłowaną,  
I kwieciem Tulii trumnę ustano.*



ISABEL.

*Do sadu, kędy gwizdzą Fauni leśni,  
Z Venecyi wdzięczna Isabel przybyła,  
Rwąc złoto jabłek i szkarłat czereśni.*

*I jakby ręką Boticella była  
Upozowana — wznosi dłonie w górę,  
Warg topiąc szkarłat w czereśni purpurę.*

*Weszła w ogrody Trebizondy pana,  
Skąpawszy usta w purpurze i miodzie,  
Wonią swych piersi dziewiczych owiana.*

*Trefnisiów króla grzebano w ogrodzie.  
A na ich grobie Gnomy taniec plotą,  
W trawnik rzucając krągłych jabłek złoto.*

*Do sadu, kędy gwizdzą Fauni leśni,  
Wdzięczna Isabel z Wenecyi przybyła,  
Rwąc złoto jabłek i szkarłat czereśni...*

*I krwią się jagód jej warga zboczyła...*



YELDIS.

*Stary władca Turynгии i ksiąęę Bohemii  
Ujrzał raz świetniejszą szaty jedwabnemi  
Piękną Yeldis — królowę z oczyma słodkiemi.*

*Yeldis błądzi wśród kwietnych różowych jabłoni  
W szatach ze złotogłowi. Król stary ły roni —  
Yeldis błądzi wśród kwietnych różowych jabłoni.*

*„Biedny ksiąęę Turynгии i Bohemskich włości,  
Poco? pocoś ode mnie zapragnął miłości?  
Biedny ksiąęę Bohemskich i Turynгskich włości!*

*„Twe włosy są zbyt białe dla złotych warkoczy —  
Pieśń dzwonów ci niedługo do snu przymknie oczy,*



*A Yeldis młodych książąt ramieniem otoczy.“*

*I wśród białych jabłoni znika, sama biała, —  
A gdy pieśń jej dzwoniąca w alei przebrzmiata,  
Dusza króla starego z tęsknoty skonala.*



PRZEŁOŻYŁA K. Zawistowska.

Tristan Klingsor.



Handlarz słońca.  
SZTUKA W JEDNYM AKCIE.

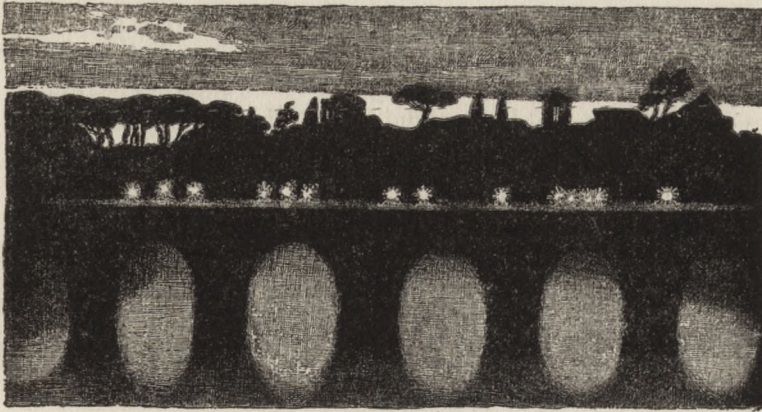
OSOBY.

PRZEKUPIEŃ ULICZNY.  
PIERWSZY PAN PORZĄDNIIE UBRANY.  
DRUGI PAN PORZĄDNIIE UBRANY.  
TRZY MŁODE ELEGANTKI (w jasnych strojach).  
PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.  
DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.  
ZBIEGOWISKO i GŁOSY w tłumie.  
PRZECHODNIE.

*Rzecz się dzieje w Paryżu, na moście Sztuk, u schyłku pięknego popołudnia jesiennego. — Przepyszny zachód słońca. — Nieustanny ruch przechodniów.*

## WSKAZÓWKI DLA STWARZAJĄCYCH POSTAĆ PRZEKUPNIA.

Lat trzydzieści dwa. Umysłowiec wykolejony, przeszedł wszystkie awatary najgorszej cyganeryi i, zdychając z nędzy, został przekupniem. Twarz długa, bardzo wielkie zapadłe oczy, spalone usta człowieka, który pije chętnie, nie będąc jednak pijakiem; wynędzniała cera wskazuje na częste męki głodowe; ciemne nieprzyszyżone włosy jeżą się krzaczasto, kilkodniowa broda czerni mu podbródek i zakłęśle policzki. Stara czarna kurtka obciska wychudłą jego figurę, wyblakły fular kolorowy, owinięty troskliwie dokoła szyi, każe domyślać się braku koszuli; nogi kołczą się w spodniach z białego poplamionego drellichu, na których pełno rozdarć i łat; obuwie w złym stanie, kapelusz filcowy wytarמושony i wyrudziały niezgorzej. — A w mizernym tym stroju, *postawność*, jednak, jakaś resztką wytworności z dawno minionych czasów, uwidoczniająca się we wdzięku i precyzyi pewnych gestów obcych klasom robotniczym, oraz w szlachetności wybitnej niektórych póz.



## SCENA JEDYNA.

### PRZEKUPIEŃ.

(Idzie z głową spuszczoną, z rękoma w kieszeniach; powlóczy zwolna nogami, jak gdyby szukając czegoś po ziemi. Zatrzymuje się pod jedną z latarni, opiera się tyłem o poręcz mostu, zwrócony plecami do zachodu słońca. Ludzie przechodzą drugą stronę, dość daleko od niego, bardzo pośpiesznie, z minami obojętnymi). No! więc trzeba zaczekać do jutra... albo do przyszłego tygodnia... (z gestem zniechęcenia:) albo do nigdy? Któż to może przewidzieć? A tymczasem brzuch sobie pasem ściskaj, człowiecze! (Ogląda się dokota.) Czyż to nie wzgardy godna hołota, cały ten tłumek: nie widzą nic... A wszyscy mają pieniądze, tak, wszyscy, huk pieniędzy, czuję je w ich kieszeniach... I to nie zatrzyma się choć na chwilkę, aby człowiekowi wsunąć marne dwa susy... Dokąd idą tak wszyscy ci ludzie? Czyliż ja idę dokądkolwiek? (śmieje się szyderczo) Ja jestem u siebie i nie mam potrzeby nigdzie wychodzić: most Sztuk to moje mieszkanie... (wskazuje na przechodniów:) a oni przechadzają się w moim domu. Mogliby przynajmniej zapła-



cić za wstęp!.. Ale nie! Ślepcom tylko szczęści się tutaj!  
 (Po chwili, tonem zadumy:) Bo prawdopodobnie ślepcy najłatwiej  
 rozumieją się ze ślepcami. (Spostrzega pana porządnie ubranego.) Pa-  
 nie... Panie... (Z pewnym pomieszaniem, lecz i z wielką prostotą:) Panie,  
 jestem głodny... Racz pan nie odmówić mi wsparcia...

PIERWSZY PAN PORZĄDNIIE UBRANY.

Jeszcze? Ależ dałem już przecie tylko co! (Idzie dalej.)

PRZEKUPIEŃ.

(Po chwili osłupienia:) Tak, znam tę zwrotkę... Każdy  
 z nich dał mi już; tylko, że wówczas zwałem się Piotrem,  
 a teraz jestem Pawłem: tak, że ja nie dostałem nic!.. (Po  
 chwilowej zadumie:) To prawda, że jest nas mnóstwo... (Ironicz-  
 nie, z odcieniem rozdrażnienia:) No, ale choćby! choćby nas było  
 dziesięć tysięcy na tym moście? Jedno, co mnie obcho-  
 dzi, to mój żołądek: oto od dwóch dni już nie jadłem...  
 Gdyby przynajmniej móżdż zatkać gardło jakimś kielisz-  
 kiem... rumu... albo kirszu: kirsz mocniejszy... albo  
 wreszcie absyntu, to najlepsze... Ach, spijałem ja niegdyś  
 absynt... wówczas gdy nie byłem głodny!.. Psie życie!..  
 Ale, na litość boską, czemuż ci tam, w dziennikach, opo-  
 wiadają, że ludzie są miłosierni... (Spostrzega młodą kobietę w ja-  
 snym stroju.) Pani... Pani... (Głośniejsze, próbując tonem wzbudzić litość.)  
 Ulituj się pani nad biednym robotnikiem bez pracy, który  
 nie jadł od dwóch dni... (Młodzianka elegantka idzie dalej, dając  
 ręką ładniutki znak odmowy. — Przekupień, z gniewnym ruchem:) A niechże  
 cię, udawaczko!.. (Patrzy za odchodzącą i uśmiecha się smutnie.) A prze-  
 cież ona jest milutka... To nie zna głodu, taka ptaszyna...  
 To otwiera jeno dziobek, i ziarna same weń padają; po-  
 tem, to ugładzi sobie piórka i leci precz... A ja, ja zo-  
 stają tu, zdychając już prawie! (Z wściekłością.) Ależ, do stu  
 tysięcy, nie mogę przecieź śpiewać! Nie umiem tego,

i wszystko płące mi się zaraz w pamięci!.. A ci wszyscy przechodnie, którzy nie widzą mnie poprostu... Gdyby tak mieć coś, co ich przynęca... Ale, zaiste, zdaje mi się, że przestraszam ich raczej... Byle tylko, przy tem żebraniu, nie wpaść w łapy strażników!.. Nie, stanowczo, wszystko uciekło mi z mózgu, najmniejszego pomysłu, a w żołądku coś targa, coś drapie... jak legion szczurów uganiających się po ściekach!.. Przekupień bez tandety na sprzedaż: to ci rzemiosło!.. Zresztą, chleb sam jużby mi, czuję, nie wystarczył.. Trzebaby mi (oczy rozblyskają mi pożądlivością) pięknej pieczeni wołowej, kilku soczystych, krwawych jej zrazów, trzebaby mi butelki starego Bordo!.. (Z goryczą.) Za dwa susy, tę nędzę, nie dostałbym nawet całego funta chleba. (Zapalając się.) Ach, gdyby wszyscy ci ludzie wiedzieli, ile trzeba mi władzy nad sobą, aby nie skoczyć im do gardła... doprawdy, daliby mi dwa susy za wysiłek... (Przechodzi strażnik miejski z obojętną miną.) Aj, do dyaska! opiekun! (Opiera się o poręcz mostu w postawie bardzo spokojnej i przygląda się niebu, jak człowiek spacerujący bez celu.) Piękny dziś wieczór. (Odwraca się ku rzece.) Niechby tylko zauważył moją minę: zasekwestrowałby mię niewątpliwie!.. Tam do licha! co za zachód słońca! Jeszcze świecek mam w oczach! (Z ruchem wzgardliwym:) Zachód słońca to zbytek, niedostępny dla wszystkich tych tam kretynów, którzy nie widzą nic... (Chwyta się rękoma za głowę.) Mój Boże, jakimem ja głodny!.. Nie-miła to, bądź co bądź, choroba, zwłaszcza, gdy człowiek taki zdrow... Bo ja jestem zdrow przecie! Dla czegoż muszę zdychać?.. (Spogląda na Sekwanę.) Mam ochotę rzucić się w wodę, by skończyć z tem odrazu... (Cofa się mimowolnie.) Nie, nie, to byłoby głupie, a ja miałem niegdyś za dużo dowcipu... Ach, niegdyś, niegdyś, ktoby powiedział, że dojdę do tego, co dziś!.. Gdy człowiek rzuca się w wodę, znaczy to, że się zabrukał; ja — jestem biedny, lecz nie straciłem jeszcze postawy. (Rozgląda się w swojej powierzchowności.)

Stoczyłem się zupełnie naturalnie, zupełnie logicznie, zapewne dla tego, że tak było napisano... Żadnego zawodu, żadnych stałych dochodów, i zawiele idei, — czyż tego niedość!.. (Z akcentem zadumy:) Ach, idei zabawnych... I piłem też niekiedy: to pociesza... (Przechodzi z powrotem pierwszy pan porządnie odziany, niosąc bukiet owinięty białym papierem. Przekupień wyciąga rękę.) Panie... Panie... Mój dobry panie... Upewniam pana, jestem chory, nie jadłem nic od dwóch dni, chciej pan to sobie wyobrazić... (Idzie koło niego, mówiąc ciągle tonem bardzo pokornym.) Panie, błagam pana, racz mnie wysłuchać... Doprawdy, nie opowiadam panu historyjek wymyślonych... (Płaczliwie:) Nie odmawiaj mi pan wsparcia, proszę tylko o kawałek chleba...

PIERWSZY PAN PORZĄDNIIE UBRANY.

(Łagodnie:) No, no, mój przyjacielu, dajże mi spokój narzecie. (Dobłtniej:) W takim wieku, cóż u diabła! człowiek powinien pracować!

PRZEKUPIEŃ.

Ma pan słuszność, drogi panie, ale proszę mi powiedzieć, co mam robić... Nie mogę nic znaleźć.

PIERWSZY PAN PORZĄDNIIE UBRANY.

(Pozbywając się go znużonym gestem:) Śpieszy mi się, mój przyjacielu, zwróć się do kogo innego.

PRZEKUPIEŃ.

(Uporczywie, głosem błagalnym:) Pański bukiet, panie... bukiet... Pozwól mi pan odnieść go do niej... Daj mi go pan, odniosę za dziesięć susów, za pięć... za dwa.

PIERWSZY PAN PORZĄDNIIE UBRANY.

(Z westchnieniem:) Nie, w Paryżu niepodobna mieszkać, stanowczo! (Odchodzi szybko.)

## PRZEKUPIEŃ.

(Żalonym głosem:) Litości dla biednego robotnika bez pracy, który nie jadł od dwóch dni... (Podnosząc głos:) Panowie i panie, miejcie litość nad biednym robotnikiem bez pracy, który nie jadł od dziesięciu dni. (Przechodząca młoda elegantka wybuchła śmiechem.) No, a cóż tej się znów stało? Ach, do licha, rzeczywiście, omyliłem się. (Pędzi za młodą kobietą i dogania ją.) Pani... Pani... Oh, pani, bądź miłosierną... Jesteś pani taka piękna... Trzeba mieć nieco więcej współczucia dla biednych ludzi... Przecież nie chciałabyś pani, abym kradł... Cokolwiek daj mi pani, cokolwiek... Pani... Błagam panią...

## MŁODA ELEGANTKA.

(Przestraszona tem uporczywym naleganiem:) Proszę mnie puścić... Proszę mnie puścić, albo zawołam policyanta! (Odbiega.)

## PRZEKUPIEŃ.

Nie! to rzemiosło wstręt nareszcie budzić we mnie zaczyna!.. Sprzedając cokolwiek, można przynajmniej głupstw im nagadać, co się zmieści. (Przechodzi drugi strażnik miejski, z obojętną miną. Przekupień odwraca się żywo i opiera łokciami na poręczy mostowej.) Dalibóg, jeszcze mię złapią na gorącym uczynku... (Melancholijnie:) Gdy pomyślę, czem byłem... Dzisiaj, rozumiem, że ludzie uciekają ode mnie: sam wstydzę się swej szpetności... Cuchnę nędzą o milę i zasmradzam siebie samego. To prawda jednak: zdaje mi się, że nie jadł przynajmniej od dziesięciu dni... A ta mała waryatka śmieje się z tego!.. Ach, przebaczam im, rozumiem ich... Mężczyźni śpieszą się, kobiety mają nerwy, a ja ciągle płaczę im się pod nogami... (Z wściekłością:) Ale niechże mi powiedzą, gdzie się mam podziąć! Nie mam już ani papieru listowego, ani ołówków, ani zabawek dziecinnych, nic,



nic!.. Mogę im służyć tylko swoim czasem, a oni go nie potrzebują... Oh! zduszę dziś kogoś, to pewna... (Chwyta się poręczy, chwileje się na nogach, po chwili wyprostowuje się z wysiłkiem.) Cała ta hałastra przechodząca... (chwila milczenia) to jednak ostatecznie porządni ludzie!.. Tylko nie widzą, nie widzą nic, ani mojej nędzy, ani przepychu nieba... (Chwieje się znowu.) Ach! gotów-em upaść.. W oczach mi czerwono!.. To to przekłete słońce, zadługo na nie patrzałem... Mogłoby się zdawać, że pijany... Tak, to słońce, ta kula żółto-czerwona, te spłomienione obłoki... Mam jakby krew w oczach i słyszę, jak mózg mi kipi... (Oddycha mocno, zdejmuje i wkłada z powrotem kapelusz, obciera sobie czoło rękawem.) Przeszło mi trochę... Olsnienie nagle... Lepiej mi, i mniej czuję głód... Okropna rzecz — być głodnym, cudna rzecz — słońce!.. Niegdyś... ale, doprawdy, cóż mi się to dzieje?.. Niegdyś nazywałem je Bogiem nędzarzy, jak gdyby nędzarze zdolni byli je widzieć!.. (Wskazując na przechodniów:) A dopiero-ż ci! Pomyśleć, że oni nie widzą nic, że nikt nic nie widzi!.. Ach! żal mi ich z całego serca... (Nagle zaczyna robić ruchy człowieka, na którego zeszło niespodziane objawienie, potem chwyla się kurczowo poręczy mostu, wspina się na palcach i przemienia się cały w ekstatycznej jakiejś transfiguracji.) Moznaby przysiądz, że jakiś palec ognisty dotknął nagle mej czaszki... (Twarz jego wyraża radość szaloną.) Puk! i już gotowe!.. Ach! cóż za wspaniała błysła mi nagle idea! (Wybucha ostrym, przenikającym śmiechem.) Widowisko, dalebóg, niegorsze będzie od innych... (Przechodniów coraz więcej: obchodzą go, potrącają. — On wyciąga nagle ręce przed siebie, rzuca z rozmachem kapelusz na ziemię i przybiera postawę handlarza, zabierającego się do wygłoszenia swych szarlatkańskich obwieszczeń; ale, obok przybranego łobuzowsko-drwiącego tonu, w głosie jego pobrzmiwa chmurna ironia: mówi jak człowiek pijany lub szalony.) Panie i panowie!.. Nie sprzedaję ani papieru listowego, ani ołówków, ani zegarków uszkiem nakręcanych: mam coś lepszego!.. Nie mam cudownego - kółka - bezpieczeństwa - kluczy: mam coś lepszego!.. Panie i panowie! Nie mam



trociczek - seraju - dla - buduarów - jedyne - zapachu - dobrych - gospodyń, ani kręcącego - się - motyla - radości - dzieci - spokoju - rodziców: mam coś lepszego!.. Ani balonika - czerwonego - który - nie - pęka - nigdy - z - wyjątkiem - wypadków - nieprzewidzianych: mam coś lepszego!.. Pano- wie i panie, zbliżcie się!.. Nie, nie mam ani przepowie- dni - doskonałego - poznania - swych - losów - nieomyłnej - wskazówki - wszystkiego - co - wam - się - przytrafi - w przy- szłości - terażniejszości - i - przeszłości! Nie! To coś lepszego, powiadam wam!.. Szluszuj, czcigodna publiczności, zemknijcie szeregi, panie i panowie! Za obejrzenie, bez dotykania, nic się nie płaci!.. Bacność, zaczynam!.. Zbliżcie się, powtarzam, nie ugryzę nikogo, ani sparzę!.. (Przery- wa sobie, aby nakreślić na ziemi trzy splatające się wielkie ryby.) Zbliżcie się, pa- nie i panowie!.. (Przechodnie zatrzymują się i, po chwili wahania, tworzą koło: w pierwszym szeregu, tradycyjny chłopiec od cukiernika, ze swą manną na głowie. Tłum wzrasta z każdą chwilą; przyłączają się do niego, spostrzegłszy tylko głowę przekupnia ponad głowami zbiegowiska, *drugi pan porządnie ubrany i trzecia elegantka w jas- nym stroju.*) Dalejże, przystąpcie i nie lękajcie się niczego: jeszcze nie trzeba płacić za miejsce!.. Panie po prawej stronie, panowie po lewej, cena ta sama, równość dla stron obu!.. Musicie przecież widzieć przemysłowca przy robocie! Musicie sami osądzić jego sposób obchodzenia się z przedmiotem. Bacność! Bo starczy towaru dla wszystkich, tak, bez samochwalby i oszukaństwa, a nie bę- dzie to ani drogie, ani trudne do zabrania ze sobą... Zbliżcie się zatem, oto chwila nadeszła! Oto pora, oto sposobność jedyna. (Werbel językiem.) Starczy go dla nianiek, starczy go dla wojaków! Nie zbraknie go dla matek i pa- nien, dla kawalerów i żonatych, dla wdów i wdowców!.. Zbliżcie się, panie i panowie! Jeszcze bliżej, jeszcze bli- żej... Sprzedaję towar niezwykły, niesłychany, niemający równego sobie w świecie całym, towar — *jedyne*, JEDYNY!... A dość go będzie dla wszystkich, dla każdego i dla każ-

dej, zapewniam was, daję wam na to słowo honoru, choćby was było sto tysięcy!.. (Udaje, że przysłuchuje się na prawo i na lewo, potem ciągnie dalej z jeszcze większą energią.) Słyszę mówiących: „Tak, znowu ta sama tandeta, farbowane lisy z modnem pokryciem!” (Śmiejąc się szydreczo:) Otóż nie, panowie! Sprzedaję, jak miałem zaszczyt was uprzedzić, towar JEDYNY... w swoim rodzaju! Jest to rzecz niezrównana, w tej chwili wam udowodnię... (Gwar w tłumie.)

## GŁOS W TŁUMIE.

No, no, no! co za perora! Pokaż-że nareszcie swoją tandetę!

## PRZEKUPIEŃ.

To nie papier listowy dla zakochanych, coś lepszego: to miłość sama!.. To nie ołówek z obsadką wiecznotrwałą, coś lepszego: to strzały z ostrzem ognistym, piszące szkarłatnym atramentem wyraźniej niż w książkach!..

## GŁOS W TŁUMIE.

Strzały piszące?

## PRZEKUPIEŃ.

To nie nakręcany uszkiem zegarek nikłowy, marna cebula za trzydzieści susów; to wielki godzinnik regulujący zegary giełdowe!.. To nie kółko-stalowe-bezpieczeństwo-kłuczy: to klucz, otwierający wszystkie drzwi, pomimo wszelkich zasuw!.. To nie trociczki seraju: to wszystkie Wschodu aromaty!.. To nie kręcący się motyl, to rzecz, która mu ruch i migotliwość daje!.. To jedyny olbrzymi balonik czerwony, który nie pęka, który nie pęknie nigdy!.. Hola! zapamiętajcie to sobie państwo!.. (Werbel językiem.) A wystarczy dla wszystkich: przysięgłem na

to!.. Nie, to nie przepowiednie i kabały: to przyszłość sama, teraźniejszość i przeszłość, to ziemia i niebo, szczęście i nieszczęście, to kamień filozoficzny, jednym słowem!..

## GŁOS W TŁUMIE.

*Czóż to takiego?*

## PRZEKUPIEŃ.

Zbliż się , czcigodna publiczności, szluszuj, tłocz się! Da każdy, co zechce, za niespodziankę!.. Zbliżcie się, panie i panowie!.. Jam jedyny handlarz tego towaru, a składów moich nie szukajcie na rogach ulic: one są tutaj, na wietrze, pod obłokami; jam jedyny kupiec, jedyny agent, jedyny roznosiciel, jedyny sprzedawca, — i sprzedaję wam... chciejcie dobrze zrozumieć... **SPRZEDAJĘ WAM SŁOŃCE!** (Wskazuje na niebo. Dokoła krzyk, hałas, wybuchy śmiechu.)

## RÓŻNE GŁOSY.

- No, no, proszę ja kogo!
- Co za blaga, mościpanowie!
- Ależ on ma słuszność. To kapitalne!
- Precz z nim!
- Za drzwi kpiarza!
- No, dość mielenia językiem: zaprodukuj nam swój figielek.

## PRZEKUPIEŃ.

(Nowym, szerszym gestem, wyciąga rękę w stronę zachodu słońca; postawa jego tchnie dostojnością, głos głośniejszymi drga akcentami.) Ani na chwilę, panowie, nie śmiałybym powątpiewać o waszej inteligencji... (Uśmiecha się lekko z drwin własnych.) Z pewnością wszakże wiele osób nie zrozumiało... Wypada mi więc może objaśnić widowisko tym, którzy nie rozumieją?.. Moim fachem

jest wskazywanie, podobnie jak rzemiosłem niektórych ludzi — niewidzenie... Spójrzcie zatem! Spójrzcie, panie i panowie, jakie ono spokojne: uskromiłem je!.. Chwyciłem je za wielkie rogi złote, i oto kornie u stóp nam się kładzie!.. Nie bójcie się patrzeć: jest to bestya bardzo łagodna, a choć zięje ogniem z pyska, pożera wszakże tylko kwiaty!.. Ludzie, którzy marzycie o fortunie, oto jest złoto! (Zaczyna się unosić.) Kobiety, które marzycie o piękności, oto zwierciadło pełne odbić olśniewających!.. A wy, małe płakliwe pędraki, oto róże, któremi możecie sobie babrać policzki!.. Zakochani, oto ogień! Zakochane, oto pycha! Poeci-nędzarze, oto rymy złote! Żołnierze, oto wszystkich tryumfów sztandary! — A wy, głodomory niepolicone, oto olbrzymia, powszechna, soczystych, krwawych mięs biesiada!.. Spójrzcie, nie okłamałem was: oto złoto pada, oto cacka dżdżą lśniące!.. Kaskadami walcie się, dwudziestofrankówki! Buchajcie, rubiny, jak rakiety świąt narodowych! Strumieniami lejcie się, topazowe fale purpurowych winobrań! Strzelaj grzmiać, niebieski szampanie!.. Oto upojenie dla ludzi, oto krew bogów!.. A wy, którzy płaczecie, shańbieni lub zbrodniarze, oto lzy dyamentów najczystszych, oto rosa pereł najbielszych, oto krople miodów najśłodszych!.. Patrzcie wszyscy! Jam hojny: kto nie chce płacić, temu nie sprzedaję, temu — daję słońce!.. (Wkłada kapelusz na głowę i stoi z oczyma utkwionemi w słońcu dalekiem. — Nowy hałas, oklaski, krzyki zwierzęce, spory. Susy sypią się pod nogi przekupnia.)

## RÓŻNE GŁOSY.

- Wszystko to wściekła blaga!..
- Nie sztuka w ten sposób zarabiać susy!
- Ja myślę, przeciwnie, że nie bierze ich darmo!

(Zjawiają się dwaj strażnicy miejscy i starają się dostrzedz przekupnia pośród zbiegowiska.)

## PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI

Nie zatrzymywać się, panowie, nie zatrzymywać się!.. Przeszkadzacie państwo ludziom przechodzić!.. Przeklęty handlarz!

## DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

Jeden pójdzie sobie, drugi się zjawia!.. A cóż ten tu sprzedaje?

## DRUGI PAN PORZĄDNIIE UBRANY.

Nic zupełnie... Upił się zapewne.

## TRZECIA MŁODA ELEGANTKA.

Twierdzi, że sprzedaje słońce, ale nie pokazał nam go : musi to być zapewne jakaś osobliwość egipska, którą on tak nazywa. (Wspina się na palcach, aby zobaczyć.) Nie, nic dojrzeć nie mogę. (Strażnicy rozpędzają tłum.) Oh, panowie, nie aresztujcież go, bardzo was proszę! (Strażnicy uśmiechają się do niej.)

## PRZEKUPIEŃ.

(Do siebie:) Do licha, polipy!..

## PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

He tam, co tu barłożysz?

## PRZEKUPIEŃ.

(Zbierając susy:) Proszę was, panowie, pozwólcie mi zebrać moje susy... Tyle ich leży..!

## DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

A twoja tandeta? gdzież ona?.. Co-ś ich tu obelgiwał?



## PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

Żebrak, to się rozumie!.. No, nogi za pas... a żywo... albo pójdziesz do ula!

## PRZEKUPIEŃ.

(Podnosi się, nieco zdumiony, że mu tak uszło; potem zwraca się ku słońcu i zdejmuje kapelusz.) Dobranoc — i dzięki, staruszkule! (Ochodzą.)

(Tłum rozprasza się, zostaje tylko cztery lub pięć osób, przeważnie młodych ludzi, z oczyma marząco utkwionemi w słońcu.)

## PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

Dalejże, nie zatrzymywać się, nie zatrzymywać się! (Młodzi ludzie odchodzą.) Czegóż ci także gapili się tak w tamtą stronę? (Patrzy również przez chwilę; towarzysz idzie za jego przykładem.) A ty, widzisz cośkolwiek?

## DRUGI STRAŻNIK MIEJSKI.

Nie, nic.

## PIERWSZY STRAŻNIK MIEJSKI.

(Zwracając się w stronę, gdzie zniknął przekupień.) Może źle zrobiliśmy, żeśmy go nie przyskrzynęli, tego patzka!



PRZEŁOŻYŁ Miriam.

Rachilde.

Oczy, wy, moje! —  
utkwilem bezruchomo was  
w Przestrzeń i Czas —  
a nic nie widzę  
i tem się niepokoję, —  
a nic wyczekać nie mogę  
i w tem mam trwogę.

Noc.

Po kwietnych łąkach  
pełźnie szept cichy  
od kwiatu do kwiatu,  
od trawy do traw,  
od łodyg w kielichy  
    pełźnie szept cichy, —  
modlą się kwiaty,  
modlą się drzewa w mistycznym poszumie,  
modlą się wody w mglistej zadumie,  
wszystko się kłania w rytm modlitwy cichej,  
    niby klasztorne mnichy  
    w szarą godzinę pacierzy. — —

*Po kwietnych łąkach  
 pełźnie szept cichy,  
 a za nim Elfów stado bieży,  
 z czarą stuwonnych kadzideł:  
 z rumianku, mięty,  
 z dzikich róż,  
 z kłosianych zbóż  
 przez Elfów wyciągnięty  
 do złotych kruz,  
 do złotych trybularzy,  
 ten zapach stu woni  
 jak ptak się we mgłach waży.*

*To Msza wieczorna Wszechświata  
 ze świętych Ziemi ołtarzy  
 w bezkrańce ciche ulata.*

*Oczy, wy, moje!  
 Utkwiłem bezruchomo was  
 w Przestrzeń i Czas,  
 w tę rozmodloną Ciszę. —  
 a nic nie słyszę  
 i tem się niepokoję —  
 to troski moje.*

*Ranek. —*

*Różowe światło płynie z za krańców ziemi, —  
 różowy wstaje dzień jak twarz dzieciny,  
 co się ze snu budzi, —  
 już w polach garstka ludzi  
 przy brzdach się trudzi,  
 a w dali las siny,  
 rozorane role,  
 łąki, oziminy*

*w rosy łzach się myją, —  
gdzieniegdzie ptak z wyciągniętą szyją  
ziarna na miedzy zbiera kąkole.*

*Tak cicho —*

*zda się,  
słysząc, jak płynie to światło różowe, —  
zda się,  
że świat stanął w biegu, —  
jeno czasem zagra na fujarce  
chłopczyzna, co u brzegu  
siwe konie pasie, —  
lub popłyną z dzwonnicy  
przy kościele z modrzewia  
na ranną wotywę  
głosy smętne, tkliwe —  
pacierze szepcą starce  
wtedy na progach chat,  
a łzy tęsknoty przeżytych chwil  
w ich zblakłej drżą źrenicy — —  
ileż ranków tych różowych,  
ileż takich lat!*

*Oczy, wy, moje!  
utkwilem bezruchomo was  
w Przestrzeń i Czas  
i w tę różową ciszę, —  
a nic nie słyszę  
i tem się niepokoję, —  
że tak mi wszystko z przed was ginie  
w tem życie biedne moje winię.*

Bolesław Kołtoński.

## Dom „pod tonącą gwiazdą.”



ojko spojrział na mnie i, zdało się, odgadł, co się we mnie dzieje. Milczał, podobnie jak ja, i myśli nasze błądziły tak, Bóg wie gdzie. A tymczasem, szliśmy mechanicznie dalej ulicami i stanęliśmy wreszcie naprzeciwko św. Juliana, przed domem „pod tonącą gwiazdą.”

Rojko mieszkał na trzecim piętrze. Chwiejne, skrzypiące schody, szerokie i ciemne, wyprowadziły nas na dość obszerny korytarz; szliśmy nim z dziesięć kroków, poczem skręciliśmy po trzech stopniach naprawo w mniejsze przejście, kończące się drzwiami samej już Rojka siedziby. Ale po drodze mijało się jeszcze drzwi innego mieszkania, w tej chwili otwarte naościę. Spojrzeniem zabłądziłem tam mimowoli. W pokoju było więcej niż półciemno, bo zmrok już zapadł głęboki, a do tego okna



były zawieszono jakąś tkaniną w żółte i czerwone kwiaty, na stole zaś paliła się tylko cieniuchna świeczka. Kojnata robiła wrażenie wielkiej czystości i porządku. U jednej ze ścian stało staromodne łóżko z wypłowiałymi, powłóczyście spływającymi zasłonami jedwabnymi, w których widać było podłużne, wielkie szczeliny i pęknięcia — rozpadały się ze starości. Zasłony były rozgarnięte, i w cieniu dostrzegłem zarysy jakiejś postaci leżącej na tem łóżku. Pośrodku pokoju stał wielki biały, niemalowany stół, wyszorowany tak czysto, że błyszczał w ciemności, a koło niego, trzymając się poniekąd jego krawędzi, przesuwała się znużonym jakimś ruchem staruszka wysokiego wzrostu, w czarnej odzieży, z białym czepcem na głowie; w wielkim, wysokim staromodnym fotelu siedziała opodal druga starowinka, blada, schorowana, o twarzy ohydnie zeszpeconej, lecz niepowszedniej. Była siwiutenka, tylko gęste brwi miała zupełnie czarne, a oczy świeciły jej niezwykłym jakimś blaskiem. Trzymała małe zwierciadelko ręczne, dziwnie badawczo w nie się wpatrując. Uśmiech samozadowolenia błędził po jej twarzy, kiwała głową i poruszała wargami, jak gdyby szepcząc coś do siebie. Przeszliśmy szybko koło drzwi tego pokoju i, nie chcąc się wydać niedyskretnym, błyskawicznym zaledwie spojrzeniem zdołałem ogarnąć jego mieszkanki, ale uderzyła mię odrazu szczególna ich powierzchowność.

— To dziwna, — rzekłem, — że nietylko z ludzi, ale nawet z rzeczy wydobywa się niekiedy jak gdyby jakiś prąd magnetyczny, który nas ogarnia i opanowuje do szczętnie! Ten dom pański zaczarował mię poprostu, zaczarował w tem znaczeniu, że czuję się stanowczo pod władzą niepojętego jakiegoś wpływu. — I mimowoli obejrzałem się za siebie ku drzwiom, które już minęliśmy.

— Czyżby pana tak zajęły moje sąsiadki? — spytał Rojko, zgrzytając kluczem w zamku. — Przechodziliśmy, —

dodał po chwili, gdyśmy już weszli do własnego jego mieszkania, — koło „klatki trzech waryatek.“ Tu w domu, muszę pana uprzedzić, każdy mieszkaniec ma jakieś przezwisko.

— Klatka trzech waryatek? — powtórzyłem za nim.  
— Czyżby te kobiety były istotnie nienormalne? Ale widziałem tylko dwie.

— Trzecia, biedaczka, nie wstaje z łóżka już od lat kilku. Jest to margrabianka z urodzenia, ale taka biedna i sponiewierana, że aż serce boli.

— I obłąkana?

— Nie, ale zupełnie już zdziecinniała! Dwie drugie, które z nią mieszkają (jedna naprawdę waryatka), mają dla niej ogromnie wiele dobroci i względności. Wszystkie te trzy staruszki są takie ciche i spokojne, że cały dom otacza je czemś w rodzaju czci. Jako sąsiadki, są poprostu wzorowe.

— Zdaje mi się, — przypomniałem sobie teraz, — żeś pan o nich majaczył, gorączkując w naszym szpitalu. Powiedziałeś pan kiedyś, patrząc nieruchomie w próżnię: to ta najstarsza z sióstr, mater lachrymarum! Zapewne jedną z nich nazywasz pan w ten sposób?

— Nie, — odrzekł. — Czy istotnie powiedziałem „mater lachrymarum“? W takim razie musiałem mówić po angielsku?

— Tak jest.

— Ach, tak! Zatem przytaczałem tylko de Quincey'a. Czyliż nie znasz pan tej przedziwnej jego rzeczy: „Lewana i trzy matki boleści“? Umiem ją całą prawie na pamięć.

— Nie znam, — odpowiedziałem.

— W takim razie przeczytaj ją pan sobie kiedykolwiek. Ja przepisałem sobie niegdyś cały ten utwór, nie miałem wówczas dość pieniędzy nawet na tak tanią książkę. Jakże potężnie oddziaływał na mnie de Quincey tym

poemacikiem! W życiu jego za lat młodych było istotnie nader wiele wspólnego z przejściami mojej młodości. To też „Lewana i trzy matki boleści“ zbudziły we mnie takie echo, że zdawało mi się niekiedy, iż to jedna z mych własnych wizyj, i że mieliśmy ją z de Quincey'em na wspólną!

Zapatrzył się w próżnię i milczał tak długo, że mi się wydało, iż o mojej obecności zupełnie zapomniał. Staliśmy w małym, wązkim przedpokoiku, zawsze zapewne dość ciemnym, bo odbierającym światło tylko z korytarza przez małe nade drzwiami okienko. Ciemnozielona, miejscami do żółtości wypłowiała zasłona dzieliła ten przedsiónek na dwie części. W jaśniejszej staliśmy właśnie; za nawpół odgarniętą kotarą widniał zupełnie ciemny kąt; stało tam stare krzesło drewniane i wały się jakieś niepotrzebne widocznie, wyrzucone tu sprzęty. Podczas gdy mi się niezajmującym tym rzeczom z chciwą jakąś przypatrywałem badawczością, opamiętał się Rojko, otworzył drzwi do pokoju wiodące i, zapraszając mnie uprzejmie do wejścia, zapalił jednocześnie stojącą na podorędziu świecę. Mieszkanie miał ubożuchne, lecz czyste. Sprzętów było niewiele: stół, na nim arkusze zapisanego papieru i stos różnych gazet, pod ścianami kilka krzeseł, koło okna nieco zużyty sekretarzyk w stylu *empire*, w jednym kącie żelazne wąskie łóżko, w drugim bufet z naczyniami do herbaty, blaszanym samowarkiem i małą lampą. Fotografia Cano'wskiego, drewnianego posągu św. Franciszka z Assyżu, bez ram, wprost do ściany przybita, była jedynym w pokoju dziełem sztuki.

— Kto z tych dwóch jest panu tak sympatyczny, — spytałem z pewną ciekawością, — święty czy artysta?

— Obadwaj, — odrzekł. — Franciszek z Assyżu jest jednym z największych ludzi, a Cano jednym z najszlachetniejszych artystów, o czym świadczy wystarczająco

choćby tylko ten posąg, jedyne z jego dzieł, które znam, i to tylko z reprodukcji.

— Co za realizm u tych starych Hiszpanów! — zawołałem, przypatrując się fotografii, — czyż to nie wygląda na jakieś dzieło zupełnie dzisiejsze?

Rojko uśmiechnął się.

— Nie zgadzam się z panem, — rzekł, — skupiasz pan zbyt różne rzeczy pod jednym pojęciem i jedną nazwą. Mówiąc „realizm“, masz pan na myśli „prawdę“ w sztuce, jak gdyby dopiero nasi dzisiejsi realiści tam ją wprowadzili. Wpatrz się pan tylko dobrze w ten posąg św. Franciszka, a wnet odsłoni się panu różnica między temi dwiema epokami. Kierunek dzisiejszy, a przynajmniej ta szkoła, która najbardziej hasłami rzucała, myśli tylko o prawdzie w oddaniu jakiegobądź przedmiotu. Tamci wielcy mistrowie nie znali hasła ani doktryny, ale mieli bezpośredniość widzenia i troszczyli się przedewszystkiem, czy to, co tworzyć chcieli, wystrzela dostatecznie nad poziom powszedniości, albo, mówiąc poprostu, czy przedmiot wart, aby go stwarzać. Większość potocznych produkcji, dzisiaj w modzie będących, tego niewarta. To, co autorowie ich „obserwują“ tak szczegółowo, nie może właściwie nikogo bardzo zajmować. Spójrz pan na tego św. Franciszka — co za prawda w wykonaniu, masz pan słuszość, ale przedewszystkiem co za ideał w koncepcji! A na tem polega cała sztuka.

— Zgadzam się z panem o wiele więcej, niż pan myślisz, — odparłem; — odróżniam doskonale realistów, jakimi naprzykład są Dostojewski i Flaubert, od tego tłumu, z którego w tej chwili żadne mi nawet nie przychodzi na myśl nazwisko. Ale zdaje mi się jednak, żeś pan niesprawiedliwy względem naszej doby dzisiejszej.

— Ani odrobiny, — odpowiedział żywo. — Twierdzą jedynie, że nie jest to doba wielka, ponieważ spełnia prze-



ściowe tylko zadanie. Wiedza, literatura, sztuka wogóle, ba, nawet polityka i społeczne ruchy nasze — wszystko to jest dopiero w stadyum analizy. Walki narodowościowe, spory socyalne, wątpienie w religii, naturalizm w sztuce, empiryzm w nauce: toć to przecie sama analiza. A tymczasem wielkość jest jedynie w syntezie, która po analizie nastąpić musi. We wszystkich wymienionych dziedzinach nie brak wprawdzie duchów, które, acz nie dosięgły nigdzie szczytów, stoją jednak wysoko nad swoją dobą. Ale świat tam, gdzie one, dojdzie zapewne dopiero za jakies stulecie — wspaniałe to drzewo wzrośnie snadź kiedyś aż pod niebiosa, dziś kielkuje zaledwie. — Umilkł.

— Jesteś mi pan zagadką, — rzekł mu. — Takie dziwne w panu sprzeczności. To wydajesz mi się pan beznadziejnym, skrajnym pesymistą, rozpaczającym nad wszystkim dokoła, to znów tryskają nagle ze słów pańskich promienie najbielszego światła nadziei i rozpraszają wszystkie ciężkie chmury.

— Ulegam wrażeniom, — odpowiedział z prostotą. — Powiedziałem już panu, że nie potrafię nie marzyć. Zresztą, i ja sam jestem dzisiejszym właśnie człowiekiem, mam wszystkie właściwości doby przejściowej: „himmelhoch jauchzend, zum Sterben betrübt“, jak śpiewał stary Goethe. Nie jestem człowiekiem dzisiejszym tylko w tem znaczeniu, że nie umiem się zapalać do wszystkich potoczności naszej epoki, a przede wszystkim, że nie zdołam śpiewać razem z innymi w tryumfalnym chórze, wysławiającym nasze stulecie jako koronę wszystkich poprzedzających. Pozatem, godzę się chętnie, że doba ta należy do najbardziej zajmujących. Choćby tylko z powodu tych śmiertelnych zapasów między nauką i religią. Humorystyka tej poważnej walki polega na tem, że obaj zapasnicy kładą nacisk na swoją nieomylność. Tymczasem ludzie dzisiejsi mają przeważnie jedną z dwóch chorób: że



albo nie wierzą, a jednak w skrytości ducha tęsknią do wiary jakiegokolwiek, albo też wierzą wprawdzie, ale już nie niezłomnie, nie zwycięzko nad całym morzem zwątpień, — i wskutek tego jedni i drudzy radziby te dwie nieomylności do jakiegokolwiek doprowadzić zgody.

— A czy myślisz pan, że kiedykolwiek da się rzucić most między religią i wiedzą? — zapytałem. — Mnie wydaje się to niemożliwym.

— W świątyniach egipskich religia ezoteryczna była wiedzą najwyższą, która zmoła analizę i doszła do wspólniejszej a jednak prostej syntezy. Mędrkami byli ci starożytni, że prawdy najwyższe zostały u nich tajnym, ukrytym skarbem, dostępnym tylko dla wtajemniczonych.

— Nie było-ż to niesprawiedliwe?

— To było przezorne i mądre. Nawet wiedza nie zyskuje na popularyzacji. A czyliż nie widzisz pan, w co się obraca każda wielka religia z biegiem czasów, gdy wielkie jej nauki, czyste prawdy i wzniosłe symbole zaczynają być nadużywane, pozbawiane treści najwyższej i karykaturowane do niepoznania!

— Oh, poznaję pana lepiej, — zawołałem; — pan wierzysz w ideały najwyższe, mimo iż, jak wieża Babel, waliły się w gruzy pod panem, w chwili, gdyś pan mniemał, że u szczytu już jesteś!

— Czyż-em panu nie powiedział przed chwilą, że nie mogę wyrzec się marzenia? — rzekł ze smutnym uśmiechem i zbliżył się do okna.

Mimowoli poszedłem za jego przykładem. Spojrzanie me padło trafem na szybę jasno oświetloną blaskiem stojącej w pobliżu świecy. Na szkle, wryte zapewne dyamentem, lśniły te słowa w polskim języku: „Sam, sam, sam! Boże, jakżem opuszczony! Tego nikt nie wie, co w sercu mem płaczu!“ Niżej był podpis, polskie nazwisko, którego już dziś nie pamiętam, i data: 1832.

— Zdumiewające! — zawołałem, — patrz pan, ta szyba jest tu już 'pięćdziesiąt sześć lat! Owo biedne serce, w którym, według cytaty ze Słowackiego, tyle było skrytego płaczu, dawno zapewne przestało już bić i płakać, podczas gdy cienka tafla szklana, narażona na wichry, burze i wszelkiego rodzaju przypadki, przetrwała wszystkie te boleści i pogrzebane nadzieje. Ileż zapomnianych westchnień i wykrzyków, modlitw błagalnych i klątw słyszały tedy zapewne te pocerniałe, ale mocne jeszcze mury pańskiego domu! Ileż tonących gwiazd zapadło może i utonęło w mrocznym jego wnętrzu! O, ta znikomość ludzkiej doli!

Rojko nie odpowiedział, cofnął się w głąb pokoju i siadł na łóżku żelaznym. Widziałem, że we wnętrzu jego coś się dzieje, do czego brak mi było klucza. Niewątpliwie, musieli znowu „mówić do niego oni,“ bo zdawał się nie wiedzieć zupełnie, że koło niego siedzę i że z nim rozmawiam. Chwilami tylko miałem wrażenie, że spostrzega moją obecność; spoglądał na mnie od czasu do czasu jak gdyby z podziwieniem, jak gdyby chcąc powiedzieć: „Tyś tutaj? Kto jesteś i czego tu szukasz?“ Było to niewysłownie przykre. Wstałem i uścisnąłem mu rękę. Była rozpalona jak w gorączce.

— Do zobaczenia! — rzekłem, potrząsając głową. Rojko skinął w milczeniu. Wyszedłem cicho z pokoju, za drzwiami zatrzymałem się chwilę, nadśłuchując, ale Rojko ani się ruszył. Poszedłem powoli dalej. Drzwi „klatki obłąkanych“ teraz były również zamknięte i najmniejszy szmer z za nich nie dochodził. Cały dom był jak zaklęty, ale gdy zszedłem o jakieś pół piętra niżej, powstał nagły hałas, drzwi jednego z mieszkań otworzyły się gwałtownie, i młody, jasnowłosy wojskowy, po fanfarońsku uczesany, z wywoskowanymi wąsami, typ świadomego siebie „pięk-nisia,“ wypadł na korytarz i zaklął. Oświetlony smugą

promieni, bijących od lampy w pokoju, zatrzymał się chwilę w ciemnym przejściu. Za nim ukazała się kobieta, z włosami w nieładzie, nieładna, ubogo odziana, zapłakana cała.

— Leonie, drogi mój Leonie! — wołała z niepokojem śmiertelnym i chwyciła go za rękaw. — Na Boga, stój! Dokąd idziesz? Dokąd idziesz? Oh, ty mnie porzucasz!

Odrzucił ją grubiańsko, aż się zatoczyła.

— Niech cię dyabli porwą, poczwaro! — wykrzyknął i zbiegł ze schodów.

Zatrzymałem się mimowoli. Kobieta nie spostrzegła mnie nawet. Błada, oniemiała nagle, załamała rękę, potem rzuciła się twarzą ku ścianie i rozplakała się dziko. Była wzruszająca w tym żalu. Poznałem ją. Była to ta sama kobieta, która niegdyś przed domem zagadnęła mnie i zapraszała do siebie. Wówczas budziła wstręt, teraz współczucie. Chciałem minąć ją cicho, niepostrzeżenie, posłyszała wszakże me kroki i obejrzała się szybko. Spodziewała się może, iż uciekający powraca. Spostrzegłszy tylko mnie, zachmurzyła się niechętnie, otarła łzy rękawem, jak to robią dzieci, weszła do mieszkania i zatrzaśnęła drzwi gwałtownie.

Takie tedy były wrażenia z mych pierwszych odwiedzin w domu „pod tonącą gwiazdą.“ Dopiero kiedyś się znalazł sam, pociemku w swoim pokoju, pośród ciszy głębokiej, zrobiłem poniekąd obrachunek tych wrażeń i powiedziałem sobie, że się nie zawiódł, szukając czegoś niezwykle zajmującego w tych poczerniałych, ku ruinie chyłących się murach. Jakże to wszystko dziwnie na mnie działało, ta „klatka obłąkanych,“ boleść tej niemłodej już kobiety, wołającej rozpaczliwie za uciekającym młodzieńcem, jakież powieściowe tkwiły w tem wszystkim zarodki! Ale wspomnienie o Rojku zasłoniło te mniej dla mnie ważne obrazy. Widziałem go znowu, sto-

jącego na wybrzeżu z tym ekstatycznym wyrazem twarzy. Słyszałem jego dziwne wykłady o pielęgnowaniu wyobraźni, aż się stanie zdolna wziąć tam, kędy zmysły codzienne dotrzeć nie mogą, — i ze wszystkiego tego w głowie mi się jęło zawracać. Jakąż ten człowiek zdumiewającą miał nade mną władzę! Z oczu jego promieniowało coś niby fluid tajemniczy, coś, co mnie ujarzmiło poprostu.

— Byłebym to waryat? — spytałem cicho sam siebie.

I zadrżałem znowu do głębi, bo miałem uczucie, że Rojko jest dolą moją, miałem uczucie, że moc jakaś wyższa wydała mu mnie, aby mnie pociągnął, gdzie chce, i że, jeśli on jest waryatem, i mojem tedy przeznaczeniem będzie zwaryować pod jego wpływem. Zerwałem się przerażony.

— Ależ myśleć coś podobnego jest już początkiem waryacyi! — wykrzyknąłem i zacząłem biegać po pokoju, jak zwierzę po klatce. Nie spałem całą noc, rzucałem się na łóżku i miałem gorączkę.

Rano wróciły mi rozwaga i spokój.

— Jest to człowiek oryginalny poniekąd, — rzekłem sobie. — Jest to dusza głęboko cierpiąca, w gruncie nader religijna, ale bez wiary, której nieustannie szuka i którą mylnie spodziewa się znaleźć przez rozum. A ta jego „świadomość faktów pozaziemskich“? To, naturalnie, proste majaczenie...

Zawahałem się. Czemuż miałoby to koniecznie być majaczeniem? Póki mi o tem mówił, pod wpływem jego obecności i osobistości, tłumaczenie wydawało mi się zupełnie jasnym, i byłem niejako przekonany o wszystkim, co mi opowiadał. Zaledwie wszakże to pomyślałem, ogarnęła mnie głucha złość przeciwko sobie samemu. Nie wmawiałem w ten sposób sam sobie tego majaczenia? I zdało mi się znowu, że wszystko we mnie wiruje,



że wszystko dokoła razem ze mną się kręci, jako gdy tracimy grunt pod nogami.

— Ten człowiek doprowadzi mnie do szaleństwa! — wykrzyknąłem znowu we wzburzeniu najwyższym. — Któż wszakże zmusza mnie szukać jego towarzystwa? — dodałem, i postanowiłem w myśli, że już go nigdy nie odwiedzę i że o domu „pod tonącą gwiazdą“ nie wspomnę już nawet.

Przez kilka dni dotrzymałem sobie tej obietnicy, potem wszakże odezwało się we mnie sumienie. Nie byłoby to nieludzkie, odsuwać się od tego człowieka, takiego nieszczęśliwego i opuszczonego, który okazywał mi wyraźną sympatyę i nawzajem znalazł ją u mnie od pierwszej chwili, gdyśmy się zapoznali? Zawstydzilem się siebie samego i poszedłem wieczorem odszukać znów Rojka.

Leżał na łóżku ubrany i zrobił na mnie wrażenie człowieka bardzo chorego. Ujrawszy mnie, zdumiał się poniekąd.

— Przyszedłeś pan jednak? — rzekł. — Przemogłeś się pan tak dalece? Dziękuję panu.

— Co panu nasunęło myśl, że już nie przyjdę? — zdziwiłem się. Patrzył na mnie uparcie, musiałem spuścić oczy, przypomniałem sobie postanowienie, że już nigdy do domu „pod tonącą gwiazdą“ nie przyjdę.

— Wiem wszystko, — rzekł cicho.

— Wiesz pan wszystko? Co mianowicie? — spytałem.

— Wszystko, co się w panu działo.

— Chcesz pan powiedzieć, że znasz najskrytsze me myśli? — rzekłem z rozdrażnieniem poniekąd.

— Tak, — odpowiedział, — chciałem rzec coś podobnego. Wiem, żeś się pan zatrwożył o jasność swego sądu i że chwilowo postanowiłeś nie widywać się nadal ze mną.



— Z czego wynioskowałeś pan to wszystko? — zawołałem, uśmiechając się wymuszenie, ale z głębokiem pomieszanem wewnętrznem.

— Widziałem i słyszałem pana.

— Gdzie?

— W pańskim pokoju, wieczorem, po ciemku.

— Byłeś pan u mnie?

— Nie ruszyłem się z tego pokoju. Od ostatnich odwiedzin pańskich byłem ciągle bardzo chory.

— A jednak widziałeś i słyszałeś mnie pan? Czyż to możliwe? Byłżebyś pan czarodziejem? — roześmiałem się głośno, ale śmiech mój był jeszcze bardziej wymuszony niż przedtem. — A może umarłeś pan już, i widzę przed sobą tylko pańskie widmo?

— Gdy śpimy, widzimy też nieraz we śnie osoby nieobecne i słyszymy je. Widzieć możemy nie tylko nerwami oka. Widziałem i słyszałem pana wewnętrznym wzrokiem i słuchem. Istoty ludzkie mogą w taki sposób oddziaływać wzajem na siebie, że się zdaje, iż widzą i słyszą. I nie zdaje się to tylko, to jest prawda. Objawiający się oddziaływa na tego, który go widzi, wywiera wpływ potężny na mózg jego, i widzenie wewnętrzne wydaje się wtedy zjawiskiem rzeczywistym. Tak było i w tym wypadku. Nie ja na pana, lecz pan na mnie oddziaływałeś, nieświadomie, z taką intensywnością, że, jak powiadam, wiem wszystko, co się w panu działo.

— Gdy zatem siedziałem w swoim pokoju i rozmyślałem, duch mój był, że tak powiem, jednocześnie w moim ciele i tutaj u pana?

— Zapominasz pan, że duch, dusza nie mogą wogóle być gdzieś, ponieważ przestrzeń, miejsce są pojęciami, które mogą być pomyślane tylko w stosunku do ciała, do materii. Duch, niczem nieskrępowany, może zatem być w stałym związku z duchem innym. Wiesz pan,

że Swedenborg powiedział, iż człowiek, jeszcze za życia cielesnego, duchem obcuje już z duchami innymi, aczkolwiek przemijające jego ja nic o tem nie wie. Dodam od siebie, że nie wie o tem w stanie normalnym. Ale ja, który czuję się tak blizkim śmierci, w stanie normalnym dziś nie jestem, żyję więc już jak gdyby w innym świecie — to jest, mam już nawpół jasne pojęcie o przyszłym stanie swojego ja.

Zamilkł; ująłem go z żywością za rękę.

— Byłabyś pan w istocie tak mocno chory, — zapytałem, — że myślisz już o innym świecie? A jak pan sobie go wystawiasz? — dodałem nie bez ciekawości.

— Tak mniej więcej, jak Kant o tem gdzieś mówi, — odpowiedział spokojnie. — Rozłączenie duszy z ciałem nie oznacza dla niego nic innego, jak przemianę widzenia czy pojmowania za pośrednictwem zmysłów w bezpośrednie widzenie czy pojmowanie duchem. Inny świat nie jest zatem innym miejscem w świecie, lecz innym widzeniem świata. Innym stanem naszego ja. Innym jego stunkiem do całości. — Umilkł znużony.

— Czyś pan naprawdę tak bardzo chory? — spytałem ze szczerem zaniepokojeniem.

— Naprawdę. Ale cóż z tego?

— I nie wierzysz pan w moją sympatyę?

— Wierzę. Wiem przecie, iż wyrzucałeś pan sobie wahania co do odwiedzin u mnie.

— Ach, wyrzucasz mi pan...

— Nie, nie, — zawołał, — nic nie wyrzucam, ani panu, ani nikomu innemu. Widzisz pan, nie byłem poprostu stworzony do szczęścia przyjaźni, nie dostało mi się to w udziale. I nikt temu nie był winien. Przyjaźń banalną sam zawsze odpychałem, albo też nie wytrzymała ona pierwszej próby. Taka przyjaźń chce ciągle być głaskana, a ja, jeśli uściśnięłem czyjąś rękę, czyniłem to zawsze

tak mocno, że aż bolało. Dla tego, umiałem pozyskiwać przyjaciół, ale nie zachowywać ich na dłużej.

— Czyż to nie są wyrzuty? — spytałem smutnie.

— Wierzaj mi pan, że nie, — odpowiedział, i twarz rozjaśnił mu uśmiech tak idealnie dobry, że, wzruszony do głębi, uściśnałem mu rękę tak silnie, iż musiała go zboleć. Nie dał tego wszakże poznać po sobie.

— Ale teraz, — rzekłem, — opowiedz mi pan, co panu jest, abyśmy mogli poszukać pomocy.

— Dajmy temu pokój, — odrzekł odmownie. — Jestem osłabiony i mam gorączkę, oto wszystko. To przejdzie! Ale jeżeli zechcesz mi pan pomódz, abym mógł wstać i iść, zaprowadzę pana do swych sąsiadek, do „klatki waryatek.“ Tej biednej margrabiance znowu gorzej podobno. Obiecałem starej jej przyjaciółce, u której mieszka, że przyprowadzę doktora. Miałem właśnie pana na myśli. — Pomódz — nic jej zapewne nie pomoże, ale możebyś pan zechciał pójść ze mną do nich, aby ją przynajmniej trochę pocieszyć? One tak mocno wierzą w medycynę.

— Czemuż nie? — zawołałem, — z największą chęcią! Ostatecznie, cóż uzdrowia, jeśli nie wiara?

## Mundus vult decipi.

(BAJKA.)



zeżąc kobyły, ssąc krew cielęcą i często-gęsto zarywając sarninki, Wilk ani się obejrzał, jak przyszła starość. Klacz mu się w nos śmieje, cielę przed nim umyka, gęś, nawet gęś, pomagając sobie skrzydłami i przeraźliwym gęganieniem, odnosi zwycięstwa nad powolnym, zniedołężniałym Wilkiem. Zafrasował się Wilk, zadumał, ważył coś w sobie, nareszcie pewnego dnia, kiedy głód doskwierał mu gorzej niż zwykle i kiedy z pół biegly po rosie sma-

kowite porykiwania cieląt, zawołał Lisa, swego sekretarza, i rzecze:

— Pójdiesz acan ode mnie z poselstwem.

— Słucham waszej wilczości.

— Słuchasz, to dobrze: młodzież powinna słuchać starych.

Owóż pójdiesz mi do pobliskiej obory, zwrócisz się do żeńskiego rodzaju cieląt, zwanych jałoszkami, które teraz chcą, jak słyszę, opanować ster opinii bydłowej, powiesz, że się kłaniam i proszę, aby mi były łaskawe oznajmić swe zapatrywania, a mianowicie: jak pojmują rolę swą, cel i zadanie w oborze? w jakim kierunku pragnęłyby się rozwijać? jakie środki obiorą do osiągnięcia swoich



celów i ideałów, gdy będą miały swobodę działania i decydowania o własnych losach? co myślą o miłości i poezji?... Powtórz.

Lis powtórzył wiernie, ale, zapuściwszy knykię w lewem przedbiodrze, pogmerał w sierci i rzekł:

— Jest moim obowiązkiem ściśle wypełniać rozkazy waszej wilczości, tylko nie rozumiem...

— I nie powinienes. Że jednak już wszedłeś, jak po twej minie widać, na drogę domysłów i zbyt z ciebie zwierz sprytny, aby zaniechać swych dociekań, wolę ci sam wytłómaczyć, o co tu chodzi. Czy nigdy nie zastanawiało cię, Lisie, jak dalece świat jest zmienny? Dawniej, jak wiesz, drzwi się nie zamykały. Dzień w dzień jakaś nowalijka: to jagnię, ciekawe lasu, to cielę, namiętne do oddalania się od trzody, to sarenka, zalotna chyżością... A dziś? Opuszczeni jesteśmy, wyklęci, prześladowani, truci. Bydło zdala trzyma od nas swą młodzież, strasząc imieniem Wilka, zapewniając, że nie mamy nic z bydłem wspólnego.. I gdzie, jak myślisz, leży przyczyna tego zubożenia wiwenty naszej?..

— Wiem już: za mało dbamy o dobro ogółu.

— Rzekłeś. Entre nous soit dit, że ten lub tamten wół czy prosiak będzie okrągłszy, obchodzi mnie o tyle, o ile wypadnie mi go zjadać. Ale, jeżeli zamiast „cham! cham!“, szczekasz „ogół! ogół!“ — skończone. Wszystko ci samo lezie do paszczy, wszystko ci wolno, bo kochasz ogół. Niejeden wół pomyśli: co to za zacna dusza, o siebie nie dba, wciąż tylko o innych, trzeba mu złożyć hekatombę. I sto wołów pada trupem dla ciebie, Jowisza. Zdaje ci się, że jesteś dobrodziejem, że bies wie, jakie niesłychane spoczywają na tobie zadania, że bez ciebie całaby oborę wilcy zjedli... inni wilcy... rozumiesz...

— Więc moje poselstwo? — rzekł Lis, któremu śpieszyło się.

— Ma na celu wdroić w bydło przekonanie, że ja, Wilk, zacząłem zajmować się jałozkami z pobudek ogólnego dobra. Usypiam czujność stada i zjednywam sobie cielęta za jednym zamachem. Bo, niewątpliwie, jałozsco pochlebi to, że ja, Wilk, ciekaw jestem, co ona, ta wiochna, ta wizya głodem nękanego brzucha, myśli i czuje. Patrzcie, jaka ze mnie ważna osoba! — rzeknie sobie takie cielátko: Wilk i ogół czekają na moje zdanie. A więc oto je macie. I zaczną się upławy ogólników o celach, zadaniach, obowiązkach, zasadach, ideałach... Ta jałozszeczka powie ci, że chce być duszą niezależną i jednocześnie duszą jego duszy (jego, to jest byczka); chce mieć swój sąd własny i jednocześnie żyć myślą jego myśli (jego, to jest byczka); to znów zechce za pomocą „obeznania się z rozwojem umy-



słowości“ bydłęcej mózł wyrazić swoje wezbrane uczucia; to będzie żądała, by, jak byk ryknie „kocham“, nie znaczyło to „pożadam“, tylko, że „twoje ideały i twoje cele są także mojemu“... Uważasz, takie niedorzeczne sprzeczności, które tylko mózł ukopyconego bydłęcia żeńsko-nijakiego rodzaju zdoła wymyśleć — zobaczysz. Już ja je znam, zęby na nich zjadłem... Inna znów ci powie, że chce się rozszerzać (czyli grubieć) i wysubtelniać... Nie bój się, rozszerzysz ty się przed ociepleniem i wysubtelnisz w moich trzewiach...

Tu Wilk zastanowił się na chwilę i rzekł.

— Idź-no acan, może znajdziesz co w szpitalni, to przynies: coś mi burczy po kiszkach na wspomnienie wysubtelnionej cielęciny.

Lis wyszedł i wrócił niebawem, niosąc w pysku głonek sera spleśniałego i trochę farfocli ze zdechłego na ochwat barana.

Wilk westchnął.

— O, kto ze łzami starych nie jadł flaków! — jak mówi poeta. — Czas jakiś w milczeniu chrupał twardy ser i z wykrzywianiem mordy dzłamał padlinę, wreszcie podjadł, i widząc, że Lis przestępuje z nogi na nogę, mówił dalej:

— O, bo ty nie znasz tych rozkoszy! Przyjdzie ci takie cięło o duszy wiośnianej, taka wiochna, i z onieśmienia dygocze, jak liść młodej brzoźki, a ty jedną łapą łaps ją za karczek, drugą za pierścizki, trzecią — nie, trzecia i czwarta na ziemi, ale — zębami za mordkę... I czujesz, jak cięło między życiem i śmiercią słabnie, słabnie, zwala się z nóg i daje się rozszarpywać, cichutko pobekując, bo głośno nie śmie, uważasz — zdycha, a nie śmie, co?.. Potem zaszywasz się w jakie ustronie i pogrążasz się w lubej odrętwiałości, bez ruchu, bez pożądań. Promienie słońca przedzierają się przez kopułę zieloną, tworząc olbrzymi lej blasków, którego ostry koniec zaczyna po tobie pełznąć od ogona do nosa; nie chce ci się poruszyć; gdy światłość w nos cię załaskocze, wolisz kichnąć, a nie zmienisz położenia. Muchy pobrzękują ci nad uchem i sadowią się na twej sierci, zrudzonej tu i owdzie krwią cięłą... Nie robisz im krzywdy, nie straszysz nawet zębów kłapaniem... Czujesz się takim dobrym, chciałbyś, żeby wszystko dokoła było zadowolone i szczęśliwe, bo wszystko ci takie bratnie i drogie: i ta mucha zielona, której brzęk to twoja rozkosz, bo go słyszysz, i ten listek złotawy, bo widzisz jego żyłki i jego cichą słoneczność, bo on ci to daje, że radują się twoje oczy... I ten ptak, tam na gałęzi choinowej, miły tobie, aczkolwiek już nie tak, bo jakoś podejrzliwie jednym okiem patrzy, nie ufa snadź, wyodrębnia się z koła twoich napawań, i swoim zachowaniem się mówi, że nie możesz chcieć go złapać, bo nie

złapiesz. Gdyby tak się nad tem zastanowić głębiej, toby zdjęła irytacya. Myślisz tak — i, nie mając nic innego do myślenia, właśnie myślisz o tem. Powoli zadowolenie twoje pierzcha, wstajesz i człapiesz w gąszcz ciemną, gdzie niema ptaków. Nie śpisz, boś poirytowany. Zaczynasz filozofować. Oto ja, Wilk, zjadłem cielę. Wzmocniłem swoją istność, ale zabiłem czyjeś niewątpliwe pożądanie życia. Gdyby cielę do mnie przyszło i rzekło: zjedz mnie, tobym może i nie zjadł, cała ponęta rzezi w tem właśnie, że cielę żyć chciało. Zatem ja złamałem czyjeś *chcenie*, czyli, że *chcenie*, wola jest życiem. Dobrze. Ale cielę musi także czemś się żywić; zjada trawę, a więc znowu łamie coś, mianowicie kształt, postać. Więc ta ostatnia, postać, jest *chceniem* rośliny, jej życiem. Zaś roślina, żyjąc wodą i powietrzem, też je zabija czyli przekształca. Przycho-dzimy do pytania: czem żyje powietrze? Bo jeżeli jest, żyć musi, czemś się żywić, coś łamać, zjadać. Moznaby przypuścić, że powietrze zjada się samo, gdybyśmy nie wiedzieli, że je stanowią atomy niezniszczalne. Powietrze tedy nie żyje niczem, czyli powietrze, niczem nie żyjąc, żyć, istnieć nie może, to jest, powietrza właściwie niema, a więc i roślin, niemających się czem żywić, też niema, nie istnieje cielę, mnie niema, nic niema na świecie, niema świata i basta!.. Potem myślisz: a któż mnie, Wilka, zjada? Nikt. Nikt, nikt mnie nie lubi. A jednak umieram, ginę... zjada mnie powietrze. Powietrze zatem jest to, co karmi, co daje życie istotom najniższym, a zjada najwyższą, czyli mnie. I ogarnia cię strach, boisz się przestrzeni, nocy, ciemności, chcesz uciec przed powietrzem!.. Z obłądnymi oczyma, z pianą na mordzie, pędzisz po jarach i rozłogach, aż złapią cię ludzie i zabiją jak wścikłego... Ale ja się zagadał, a tu coraz bardziej mi głodno. Mnie niema, ale głód mój jest. Biegaj więc, mój Lisie kochany, do tych cieląt i spraw mi się zgrabnie, jak to ty umiesz. No, do widzenia.

Bez kostura, bez sakwy, jak stał, Lis ruszył w drogę. Gdzie polanka była jaśniejsza, niechętnie mrużył oczy i w cień umykał. Idąc, rozmyślał.

— Biedny stary!.. A gada, niech cię gęś kopnie. Mógłbym go porzucić, ale mi go żal trochę. Zresztą potrzebny mi, jako pewnego rodzaju repoussoir: wszystkie szkody okoliczne, nawet szkody w kurnikach idą na karb starego. Wiedzą, że Wilk tu się gnieździ, ale nie wiedzą, że temu szkodnikowi zostało tylko pięć zębów...

Starość — smutna to rzecz dla zwierzęcia... Ha, każdy ma swoją wyspę świętej Heleny, jak mówi jedna autorka. Gdy mu dobrze usłużyć, to i sam się jakim ochłapem cielęciny pożywię i stary nie będzie mi daremnie płoszył gęsi — niedojda!.. Gdyby tylko udało mi się przemknąć do obory... Miałem tam ongi w podwórzu znajomą gęś, która się nawet we mnie kochała... Ale ją zjadłem. Szkoda, przydałaby mi się jej pomoc par le temps qui court, przedstawiłaby mnie jako psa i koniec. Szkoda. Zjadłem ją... trochę z głodu a trochę z zazdrości, bo zanadto ją coś ciągnęło do gąsiorów. Już to prawda, że te związki duchowe to psa warte. Toć i moja gęś deklamowała: „Chcę, byś sumienia mojego był gęciem, chcę twoje wycie chować jak przysięgę.“ I co z tego? W końcu polazła szastać się z gąsiorami po błoniu i pławic w błotnistej sadzawce... Tak to głos interesu, gatunku i rasy w końcu zwycięża wszelką duchowość, która zawsze w zwierzęciu jest tylko czemś naleciałem... Tak, tak... Ale wiem, co zrobię: sam będę udawał psa, to jakoś pójdzie.

Te i tym podobne rzeczy myśląc, Lis skoczył do poblizkiego rowu, wynurzał się w wodzie, przez co sierć oblepiła go, robiąc czemś podobnym w części do wielkiego tłustego kota, w części do małego chudego jagnięcia, co razem wzięte, mogło ująć i za psa średniej miary. Tak ucharakteryzowany, z podwiniełym pod się ogonem, Lis chyłkiem, ciszkiem, pomaleńku, trzymając się krzaczków, płotków i innych miejsc cieniorodnych, udając wobec ludzi spokój i pokładając się przed psami do góry brzuchem, na znak uległości, dotarł nakoniec do upragnionego cielętника. Był to rodzaj bekowiska, obwiedzonego dziurawym płotem, ułatwiającym dostęp gęsiom, kaczkom, kurom i innemu plugastwu, gdzie, osobno byczki, osobno jałozski pasły się i gziły, czekając przyszłych wypadków. Czasem wkraczał tu pasterz, rzucił jakieś ważkie słowo, poklepał które z cieląt i wychodził; czasem pachciarz z rzeźnikiem tu zaszli, włokąc za sobą ponure cienie żałoby.

Lis otrząsnął się z wody, wymuskał wąs, przejrzał się w gnojuwce, podniósł kitę i wszedł prosto do jałozek.

Istotnie, podlotki wzięły go za psa, i dopiero, coby zacz był, wyświetliła jego mowa tej osnowy:

— O cielęta! Najłapczywszy Wilk, dziedzic na chaszczach i ostępach Świętokrzyskich, władca jamy najciemniejszej, a dla niepoznaki, obrośniętej kwitnącym powojem i bluszczem i zasłoniętej figowemi liśćmi, posiadacz wilczego gardła tudzież wilczego apetytu, dobrodziej i pan mój, powodowany chęcią służenia ogólnemu dobru,

jakoteż pragnąc silną łapą wesprzeć tak nam sympatyczny ruch wyzwolenia się cieląt z pod supremacji wołów, byków, psów tudzież pasterzy, zwraca się do was moją mordą i prosi o łaskawe wypowiedzenie przede mną swych zapatrywań na cel i zadanie jałoszki w oborze, na stosunek jej do wołów, tych wiernych pracowników i towarzyszy waszego przysłego krowiego stanu, o wyrażenie, w jakim kierunku chcielibyście się rozszerzać i wysubtelniać, w czym, podług was, leży dobro wasze, i wogóle, co myślicie, czego pragniecie, co byście chcieli zmienić, co zatrzymać? Proszę nadto o wyluszczenie mi swych poglądów na miłość i poezję. Wszystkie wymienione rodzaje zapatrywań będę miał zaszczyt wiernie Wilkowi donieść, a w razie, gdyby która z was miała coś jeszcze do uzupełnienia, do wyjaśnienia lub przedyskutowania, niech, podczas mej nieobecności, śmiało wali do lasu, do jamy obrośniętej bluszczem, ostęp Świętokrzyski, numer nieparzysty pięćdziesiąty trzeci ce. Skończyłem. A teraz słucham. Cielęta mają głos.

Naprzód zaczęły się niedowierzające pobekiwania i bardzo intensywne chichotki. Cielęta trącały się kopytkami i body czółkami, wypychając jedna drugą do odpowiedzi na orędzie Lisa, który ze skromną godnością siadł na tylnych łapkach, wydobyl karnecik, spuścił oczy i czekał cierpliwie. Nareszcie, gdy sytuacja zaczęła stawać się zbyt naciągniętą, raz jeszcze wstał i, już tonem raczej salonowca niż urzędnika, wyrzekł zachęcająco:

— Voyons, mes veaux, niech panie będą łaskawe... Tu się nie wymaga żadnych uczoności... prosto, szczerze, bez retoryki, bez szumnych komunałów, wszak to tak łatwo. Co robiłam, co robię, co będę robiła? Piłam mleczko, piję mleczko, będę piła mleczko. Co myślałam, co myślę, co myśleć będę? Myślałam, żem ładna, myślę, żem ładna, będę myślała, żem ładna. Dalej, proszę...

Żarcik przyjęto miłemi śmieszkami, niektóre cielęta zapłonily się. Lis dotknął łapką najbliższej ślicznej białoszki.

— No, może ty, milutka, mi powiesz?

Ta, ośmielona, rumieniąc się trochę i trochę błędąc, naprzemian, zaczęła:

— Wiadomo, że życie cielęcica składa się z epok i z ideałów, które wszczepiają w nas pasterze, jeden to, drugi tamto: wszystkim trudno dogodzić. A krowy - matki wszczepiają w nas kokieteryę i zamiłowanie fraszek. Więc czego można się spodziewać rozsądnego od istoty zatrzymanej w rozwoju umysłowym w czasie dzieciństwa? Dążenia rozsądne wolno wygłaszać cielęciu w oborze tylko jako materiał konwersacyjny. Co do naszej woli i osławionej głupoty, to



nie jesteśmy oponętne z zasady, mamy duszę i chcemy być przekonani, i jesteśmy odpowiedzialne sumieniem, subtelnie w dzieciństwie ćwiczonem, za wiele szkód popełnianych świadomie, ale pod naciskiem. Co do obowiązków, to mam pojęcie odpowiedzialności za nieużyteczność obecności w społeczności. Dlatego pragnęłabym zająć się wiejskim drobiem, albo trzodą chlewną, łagodzić jej obyczaje, wpajając w nią zasady, chociaż nie wpajając upodobań niezgodnych z ich stanem. Może większość młodzieży z tego tłumu, owej podstawy społeczności, zostałaby w przyszłości moralną i rozsądną. Oto wszystko. Ale, jeszcze zapomniałam powiedzieć, że do tej pory nikogo nie pokochałam. Roku mam pół.

Lis słuchał z uwagą, pilnie stenografując w karneciku. Wreszcie zapytał:

— Przepraszam, jak nazwiczeczko?

— Latawerya.

— Dziękuję. Teraz proszę siadać. Kto następny, jeśli łaska.

— Ja powiem — odezwano się jakieś ładne cielątko z blond siertką w czerwone łatki.

— Proszę, bardzo proszę — kłaniał się Lis.

— Jeżeli mam szczerze powiedzieć, co myślę i czuję, to pragnę przedewszystkiem, żeby krowy wpajały w nas zasady, a po zasadach charakter i wolę. Cielę niepowinno być gąską ani kurczęciem. Cielę rozumne dużo może. Niedawno pewien wół, który się do mnie, jak mówią, zaleca, utrzymywał, że, gdyby oborą rządziły cielęta, toby było inaczej. Rzeczywiście, jabym tak pragnęła żyć pełnią sił... W takich razach idę sama do lasu, i tam natura, mając wrodzone poczucie piękna, dobroczynny swój wpływ wywiera. Nazywam się Wysysanka.

Mówczyni, kiwnąwszy zlekka Lisowi, dumnie spojrzała po obecnych i zaczęła gryźć trawę nie półgębkiem, lecz całą gębą, jak wypada cielęciu, które dąży do pełni życia.

Zaczem i inne cielęta, starsze, zachęczone przykładem i odwagą młodszych, widząc, że Lis nietylko się z nich nie wyśmiewa, ale owszem, przybiera wyraz uprzejmo-gorzkiej zadumy, bardzo podobnej do melancholii, zaczęły cisnąć się jedno przed drugie z mowami.

Dwie jałozki: Przyślepa i Kłapouszek, chciały nawet mówić jednocześnie; dopiero uwaga Lisa, że nie będzie mógł notować, co by było dlań bolesną szkodą, nakłoniła drugą do ustąpienia pierwszej, która tak rzekła:

— Stanowisko cielęcia w społeczeństwie jest wzniosłem i bar-



dzo trudnem. Ono wywiera na bydło wielki wpływ i od niego prze-  
ważnie zależy przyszłość obór. Celem moim i ideałem jest być uży-  
teczną. Nie jestem przeciwniczką związku z wołem, lecz go dla sie-  
bie nie pragnę: tak trudno się dobrać i zgodzić. Stosunek między  
wołem i jałoszką powinien być naturalny, może być nawet ser-  
deczny. Po stosunku tym nie spodziewam się szczęścia, tylko in-  
nych, nowych obowiązków, bo na to jest stosunek, aby przez niego  
cielęta i woły nawzajem sobie dołą swoją ciężką umiłały. Co do kie-  
runku poezyi, to najbardziej mi się podoba realistyczny, którego jed-  
nak zmysłowość mnie razi; dalej—pasterski, czyli pozytywistyczny, bo  
przepadam za granie na pozytywce. Na sztukach pięknych nie  
znam się wcale, z czego jestem dumna, bo to zawracanie głowy  
i odrywanie uwagi od pożytku.

Drużę zaś, Klapouszek, tak mówiła:

— A więc mam dać wiedzieć Wilkowi o moich pragnieniach  
i rozumieniu moich obowiązków i przeznaczeniu cielęcia w dzisiej-  
szej oborze? Nie mam pola do działania, bo za słabe moje wykształ-  
cenie. A tego pragnę, pragnę być użyteczną i mieć pole do działa-  
nia. Uczę się sama, podpatrując i badając, ale tylko to, co mi zosta-  
wia pewien smak. Poezyę kocham, ale nie powiem, żeby mnie po-  
rywała, bo boję się rozczarować, i dla tego zadeklamuję swój wier-  
szyk:

*Kto swej młodości złamałszy kopytką,  
Skierował bieg swój po za bory, lasy,  
Próżno się sili (o doloż, ty brzydka!),  
Zdechnie, nie wiedząc, co wole karesy.*

Co do miłości, to chcę być kochaną, ale dla mnie miłość musi  
być nie zwierzęca, tylko poświęcająca się. Niestety, dzisiejsza mło-  
dzież nie odpowiada wymaganiom mojego ducha. Gdy się zesta-  
rzeję, wezmę sobie sierotki na wychowanie i to mi życie wypełni.  
Nakoniec, kocham pasterza i bydło. A obora powinna być oparta  
na kółku rodzinnem. Obora bez rodziny zginie, bo każda jednostka  
zginie, a więc zginie obora. Teraz, kiedym już wszystko powiedziała,  
ciekawam, jakie będzie zdanie Wilka: czy myślę prawidłowo, czy  
też jestem na złej drodze?

— Sądzę — rzekł Lis grzecznie, — że poetycki talent, którego  
słyszałem próbkę, zdoła ustrzedz panią od błędów rozumowania, a na-  
wet od omyłek w postępkach. I Wilk nie inaczej, będzie się na to  
zapatrywał...

Wtem przerwał Lisowi harmider wśród jałoszek.

Słychać było krzyki: „Niech mówi Fikarya! Chcemy, żeby mówiła Fikarya! Nikt tak nie powie jak Fikarya!“

Jakoż Fikarya, wypchnięta na widownię, rzekła:

— Warunki, w jakich żyją cieleta, muszą powodować nieszczęścia. Tak, cielę niema swobody i, choć rwie się do lotu, musi chodzić na czworakach. Czyż to nie jest nieszczęście? Ach, sądziłam, że zapoznawszy się z rozwojem umysłowości ogólnie zwierzęcej, potrafię wyrazić rozpierające mnie uczucia. Niestety, płoty i zagrody kępują mój umysł; jestem smagana biczem, ale czyż dla tego mam zostać na nizinach, gdzie tylko dzikie gęsi fruwać, ach, one będąc uskrzydłone... Ratunek nasz w niezależności serca i zasad. Dążmy do niej, bo wtedy byk, który sam przez się nienawidzi szczytnych uniesień, będzie duszą naszej duszy, myślą naszej myśli, i gdy ryknie „kocham,“ nie będzie to znaczyło „pożadam.“ Tak, pragniemy, my, jałoszki, rozszerzać się i wysubtelniać. Nie chcemy niewolli, wolimy, żeby nam wolno było być wolnemi!

— Gdzie ja to już słyszałem? — przemknęło przez głowę Lisa, — aha, to Wilk mnie uprzedzał, że to usłyszę. Prawda, jak kury wielbię, prawda!.. — A pani, co sądzi o tem wszystkim?.. — spytał jakiejś starszej jałowicy, która wzgardliwą postawą znać dawała, że coś ważnego w swojej gębie tai. Reszta cieląt zaczęła szeptać z szacunkiem: to Skończony Czworonóg, słuchajcie, słuchajcie!

Właścicielka tego dostojnego nazwiska odezwała się:

— Przedewszystkiem, z całą szczerością i śmiałością wypowiadam, że cielęciu nie wolno być sobą, lecz musi być stworzeniem, co i myśli porządnie i serce ma czyste. Cielę powinno być nie dodatkiem w oborze, jakimś tam odgrodzone kojczykiem, ale być najważniejszą połową, że nie powiem trzema jej czwartemi. Ztąd nie wypada, żeby zaraz cieleta, równouprawnione z wołami, wprzęgały się do jarzma, nie. Ale wypada, żeby cielę rozumiało gruntownie, gdzie skacze, dla czego gzi się, ażeby koszt edukacji, łożony przez dziedzica, nie szedł na marne. Trzeba więc, żeby się cielę uczyło higieny i pedagogiki, gdyż wiadomości z tych nauk są bardzo zdrowe i nauczające, czyli pożyteczne. Ażeby zasłużyć na szacunek, cielę musi pracować koniecznie. Albowiem bez pracy nie smakują zabawy, pląsy i bieżanina po wykrotach. I niech mi będzie wolno z kim chcę obcować: czy z bykiem czy z wołem, to rzecz moja. Niech wzajemny stosunek cielęcia do tych osobników będzie nacechowany szczerością, niepozbawioną wyszukanej grzeczności, uprzejmości i opiekuńczości, bo cielę zawsze, bądź co bądź, tęskni do silnych bicepsów. Co do poezji, to słysząc różne o niej zdania, nie mam

ochoty się nią zatruwać, aby nie umrzeć na duszy. Albowiem stro-  
nie od tego, co nie kształci, nie naucza i nie jest pożyteczne.

Lis jeszcze nie zdążył powtórnie zaostryć ołówka, kiedy już  
nowa oratorka, kipiąca niecierpliwością wypowiedzenia swoich my-  
śli, zabrała głos w tym sensie:

— Pytania wilkowe zachęcają mnie do uczestniczenia w gro-  
nie cieląt odpowiadających na nie. Zaraz po ocieleniu, prowadziłam  
z koleżankami szereg rozmów na ten temat, a i teraz rozmyślam  
nad tem, czem jestem a czem być powinnam. Minęły czasy, kiedy  
udziałem cielęcia było być szczęśliwym. Teraz, z rozwojem mięso-  
żerności, musimy uszczęśliwiać innych; jest to wiele dla tych innych,  
dla nas — zamało. Ale trzeba mieć serce, sam rozum nie wystarczy;  
„żyć bez serca, dla cielęcia znaczy martwym być do ścięcia,“ —  
nie tego serca czulego i szalonego, zapalającego się na chwilę, ale  
serca, które kocha wiele, kocha miliony, kocha całą oborę, całe past-  
wisko, i wszystkich pasterzy z ich psami, i wszystkie lasy z ich wil-  
kami. Takie serce mieć musi nasze, tutejsze cielę. Miłością i tkli-  
wością musi być ogrzana praca nasza, bo wtedy najwięcej korzyści  
ogółowi przyniesie. Jest jeszcze jedna miłość dla nas otwarta —  
miłość samcza, która powinna być oparta na twardych podstawach;  
bo wtedy tylko będzie to ideałem a nie szaleństwem, który nigdy nie jest  
trwałym. Dalej, stoją otwarte sztuki piękne, bo to nie jest specyjal-  
nością jednostek, tylko to strumień, z którego każdy czerpać może.  
Idźmy naprzód, bo kto nie postępuje, ten się cofa. Ja wam to mó-  
wię, ja, Szczerocha.

I nie czekając na zaproszenie Lisa, dorzuciła:

— Ma głos siostra moja, z przydomkiem Ogoniasta. Mów.

Ogoniasta otworzyła gębę, a słowom jej towarzyszył coraz bar-  
dziej potęgający się rumieniec.

— Wstyd mi wyznać — mówiła — że, mając dwa lata, jestem  
tak mało postępową w dążeniach i pragnieniach. Zawsze, już w dzie-  
cinne lata moje, lubiłam zdawać sobie sprawę z tego, co się naoko-  
ło mnie działo, później badałam różne wrażenia, i zagadnienia ogólne  
pierszą moją rozpieły. Jako cielę domowe, walki o byt nie znałam,  
uczono mnie tylko znać drogę do pastwiska. Dręczyłam się pyta-  
niem, com winna oborze i czego ta obora ma prawo żądać ode mnie?  
Mleka i mięsa, mówiło coś we mnie, ale odrzucałam ze wzgardą te  
poszepty instynktu. Nie, obora chce, żebym była pożyteczną bez  
rozgłosu. I będę, będę dorzucała ziarna do idei społecznej. Chciała-  
bym być, płodną krową, potomstwa chciałabym mieć jak najwięcej,  
aby je wychowywać na dzielne podpory obory, wychowywać oso-

бно byczki, osobno jałozski, aby się nie skaziły i nie zatraciły swych cech naturalnych. Z poetów, kocham Byczewskiego, temu jednemu przyznaję poznanie duszy cielęcej. Wolańskiego, przyznaję ze smutkiem, nic a nic nie rozumiem, bo jest zbyt wielkim symbolistą.

— Wybornie, wybornie — mrucał Lis, który zaczynał już tracić cierpliwość, i widząc nastawionych do mówienia jeszcze kilka mordek cielęcych, przemyślał, jakby tu zemknąć, nie obraziwszy ambicyi cieląt, tej najczulszej ich struny. Szczęściem dwa wypadki podziały rzeźwiąco na podupadły humor Lisa. Naprzód, poetce Kłapouszkowi udało się stworzyć i szepnąć komuś w kąciku dwójznacznik, a mianowicie: „kocham wołu, ale mnie nie porywa; Wilk mnie porywa, ale go nie kocham“. Z gęby do gęby podawany dowcip ten wzbudził chichotanie ogólne; wesolość spotęgował jeszcze drugi wypadek, a raczej mowa pewnego młodziutkiego cielątka, które, korzystając z zamieszania, też zaczęło rozwijać swoje poglądy. Cielátko, zwane Pieszczotka, mówiło:

— To jest moje zapatrywanie, gdzie każdy ma być ziarnkiem dla społeczeństwa, które nie pragnie od małżeństwa szczęścia, ponieważ, jeżeli się mówi „kocham“, to nie powinno znaczyć „pożądaj“ i praca powinna być a wszyscy powinni być dobrzy, bo gdybyście wiedzieli, jak różne uczucia pierś mą rozpierają, to dla wyrażenia ich, poznanie ruchu umysłowości pedagogiczno-hygieniczno-pozytywistycznie e... e... e...

Tu, nie mogąc się wygrzebać i osobliwie zmieszana uporczywym wzrokiem i mimowolnym uśmiechem Lisa, Pieszczotka rozpląkała się.

— Ja tam nie jestem uczona — mówiła szlochając, — gniewam się. — I rzeczywiście poszła poskarżyć się przed krową, nieutulona nawet zapewnieniem Lisa, że jej nie zapisze w katalogu. Ach, właśnie, onaby tak była chciała stać w karnecie, tylko ten nieznośny mus gramatyczny uzupełniania okresów!

Ażeby zatrzeć przykry ten, ze względu na Lisa, blamaż, jałochna Leżybocka beknęła donośnie na znak, że chce mówić, i mówiła:

— Za punkt wyjścia biorę dla siebie zdanie powszechnie przyjęte, że celem życia i dążeń bydlęcych jest wytworzenie jak największej sumy szczęścia na tym świecie, tudzież aforyzm: „szczęście jest tam, gdzie jest,“ czyli gdzie je się widzi, czyli, że jeżeli ja widzę szczęście w paskudzeniu na zielony kobierzec natury, to to jest szczęściem. Czy cielę współczesne zdolne jest do zaspokajania tych szerszych aspiracyj? Niestety, odpowiedź wypada przecząco. Ten ide-



alny pogląd na świat, któryśmy wyssały z mlekiem hodowców i krów genialnych, jakże w strzępy szarpie rzeczywistość. Jakże często nie jesteśmy przypuszczone do szczęścia i chęci nasze nie zostają zaspokojone. Mówią, że trzeba nam samodzielności. Ja nie należę bynajmniej do szeregu samodzielnych cieląt, ale odczuwam potrzebę samodzielności. Gdyby mi pozostawiono swobodę działania, wyfrunęłabym natychmiast w świat szeroki, by umoczyć swe usta w nęcącym kielichu wiedzy.

Ale i tym razem nie obeszło się bez wypadku. Snadź morze duchowości cielęcej łatwo się rozbałwiania, ale uspokaja nietawo. Jakieś czarne, ponurę cielę słuchało mowy Leżybockiej, wpijając w mówczynię wzrok bazyliuszka; w końcu rzuciło się na nią, tłukąc łbem i kopytami. Czarne to cielę, zwące się Bydłokratką, wzięło mowę Leżybockiej za osobistą obrazę i wymierzyło sobie sprawiedliwość w ten najwymowniejszy sposób. Zaczem, trochę uspokojone, jęło słownie miażdżyć wloty ku szczęśliwości Leżybockiej oraz biczować zbyt słabą preopinantki chęć do samodzielności.

— Cielę — krzyczała Bydłokratka, — jako istota bierna, żadną miarą ostać się nie może, lecz powinno się przystosować do ducha epoki. Dziś praca, praca i jeszcze praca. Cielę powinno być tak chowane, żeby ciągle coś robiło. Niech gryzie obladrę z płota, gdy nic innego nie umie, ale niech pracuje. Niech się na wołu nie ogląda, bo nie na każde cielę wół wypada. A zatem samodzielność i praca. Czy potrzebuje pracować jałoszka czy nie, powinna mieć to wdrożone, że praca jest jedynym zadaniem każdej. Niestety, jakże daleko jeszcze jesteśmy od tego ideału. Dziś tylko ta pracuje, która musi. Tak być nie powinno, tu potrzeba zmiany: by praca nie zależała od woli pojedynczej jednostki, ale była wprost wymaganiem społeczeństwa, narzucana jednostkom jako rzecz konieczna, niezbędna, bezwarunkowa. Tak, zmuszajmy do pracy wszystkie cielęta, naglijmy do pracy, do pracy ciężkiej, jak najcięższej, do ciężkich robót wszystkie — marsz! Że tak z czasem będzie, ufam i sobie życze, niech każda w swoim kółku tak samo się stara i czyni, co może, dla zmiany na lepsze, do czego i ja też należeć pragnę.

— Dobryś — pomyślał Lis. — Zresztą, wszakże to woda na młyn wilczy. Cielę, pracując, traci czujność i upodabnia się do wołu, tego niemowlęcia wobec lwa srogiego albo i wilka...

Dalsze refleksje Lisa zostały przerwane jakimś grubszym bekiem, zgoła nie cielęcym. Widać było na wierzchu płota łeb sporego półkrowia. Łeb ryczał.

— O, cielęce cielęta! Czemu chcecie zabijać własną cielę-



coś? Pragniecie dobra stada, a pozbawiacie je cieląt, tych kwiatów obory radujących oczy, tego uśmiechu potęgi rodzącej, tych powiewnych, chwiejnych, słodko rozbeczanych istotek, złączonych z krową ogniwem tkliwości i strumieniem mleka...

Tu i owdzie zerwały się chichotki. Niektóre cielęta wołały: słuchajcie, słuchajcie!

Leb ryczał dalej:

— Natura wysila się i, niekiedy aż bolesna, rodzi piękne, młode latorośle, kwiaty, dzieci, cielęta, a wy... wy same chcecie się unicestwiać i odrazu jałowić, albo wołować się! O biada, biada oborze, w której cielęta rej wodzą! I kogoż to bierzecie za powiernika waszych młodych, świeżo wykluwających się duszyczek?—zwierzę mięsożerne, którego pomoc i rada nie może być zanadto podana w wątpliwość. Chcecie być samodzielne — stańcie się takimi, ale same, bez obcej, zwłaszcza wilczej pomocy... Wilk was pozjada i z czegoż będą się rodziły przyszłe krowy, to dobro obory?... I jam niegdyś wierzyła Wilkowi, myślałam, że mnie rozwinie i wysubtelni... Ach, do dziś mam duszę zbrudzoną wspomnieniem o nim, o jego nędznych mięsolubnych zapatrywaniach. Za jego to namową, pochlebstwami rozżarzana, doszłam do tak bzdurnego o sobie wyobrażenia, że chciałam zostać lwicą. Towarzystwo krów i wołów za nic mając, rzucalam się na każdego byka z zębami i kopytami, ale cóż? Gryzłam ich, a oni, zamiast uczuć zgrozę, śmieli się tylko...

Tu zaburczało, zalkało coś we łbie, i zamiast słów, zaczęły płynąć z niego lzy, śluz i ślina.

Cielęta wybuchnęły szalonym śmiechem.

— Kto to? — spytał Lis Kłapouszka, który pokładał się od śmiechu tuż obok.

— To Agni, stara waryatka. Ukąsił ją bzik w lesie i ma zwarzone mleko. Niewiadomo, co z nią robić, bo to ni wół ni krowa. Zamknęli ją osobno i pewno zarzną.

— I cóż o niej myślicie wy, cielęta?

— E, ktoby ją tam brał na seryo, bawi nas tylko.

— Dobrze jest — Lis pomyślał, — mogłaby mi brzydko popsuć sprawę.—Tu szczechnął:

— Proszę o głos!.. Otóż, zamykając obrady dzisiejsze i reasumując ich wyniki, składam przedewszystkiem, w imieniu Wilka, najserdeczniejszą podziękę za szczerość i chętność w wynurzaniu swych myśli, tak wartko płynących z waszych młodzieńcych, rozpieranych przez różne zapatrywania serduszek. Niech ta nie serdeczna, którą, jak sądzę, nawiązałem pomiędzy waszemi pięknymi

duszyckami a wielkiem sercem Wilka, przepelnionem miłością ogólnego dobra, niech ta nić — mówię — będzie trwała, niech jej nie zrywają żadne bałamutne intrygi, żadne oszczercze i szalone słówka... (nie zaszkodzi taka aluzyjka). Owszem: idźcie do niego, do Wilka, wszystkie. On was przygarnie i oświeci i wesprze silną łapą wąte dążenia wasze. Byle nie wszystkie naraz. Po jednemu, codzień jedno niech śpieszy do jamy: wysubtelniać się można tylko sam na sam. A teraz do widzenia, do widzenia, moje najukochańsze duszycki. Odchodzę, mając głowę, notes, uszy i serce pełne waszych kwiecistych, tętniących życiem mówek.

Tu Lis, złożywszy zgrabny ukłon i machnąwszy kitą, niby piórem od kapelusza, wyszedł a raczej był na wychodnem, gdy jakaś niemłodziutka i jakgdyby już trochę używana jałoszka przybiegła śpiesznie, wołając:

— I ja, i ja... jeszcze ja!.. Byłam zajęta flirtem na wielką skalę... Uf!.. Trzeba zaspokajać głód serca... tak pragniemy chwili złudzenia! Wprawdzie nie mam ochoty pokazywać duszy, bo są rzeczy, które się tylko w czułem tête-à-tête pokazuje, i do sanktuarium duszy wpuszcza się tylko wybranych, jednak chcę, żeby Wilk wiedział, jakie mam zapatrywania.

Lis z trudem powstrzymywał się, podobny do zbyt uciskanej sprężyny, ale się przemógł, poślinił ołówek i pisał, co następuje:

— Nie będąc przeznaczona na rzeź, lecz na chów, a zatem mając przed sobą długie życie, poświęciłam takowe nie pracy, bo w tej wołom ustępujemy, ale jedynie badaniu miłości i poezji. Ze smutkiem wyznaję, że, wskutek naszej subtelności i wyrafinowania, niema takiego wołu, którego mogłybyśmy kochać, my, jałoszki, które pragniemy miłości wielkiej i gorącej, o szerszych aspiracjach, które podnosimy bunt przeciw naturze, tej mistrzyni życia, która źle nas stworzyła, każąc być jałoszkami i ewentualnie krowami. Jeżeli się do wołu zbliżamy, to tylko po to, żeby mieć chwilę złudzenia. Zatem jestem pesymistką. Wobec czego trzeba wierzyć tej bajce indyjskiej, podług której wielki Brahma stworzył ciełą i przeciał na dwoje i powiedział, że jedna połowa będzie mężka a druga żeńska. Tylko, że nie zawsze się one spotykają. Jeżeli się spotkają dwie takie połowy nie od głów, tylko te inne, to nie mają czem myśleć o szerszych aspiracjach, a jeżeli złączą się dwie połówki od głów, czyli półgłówki, to też źle, bo dużo jest mówienia, a za mało szczęścia. Nieśmy więc wysoko nasz sztandar, starajmy się wywierać na wołu wpływ umoralniający, który jest zepsuty, bo nie chce wpływać na ciełą, ale psuje takowe. Teraz powiem o po-

ezyi. Poezya powinna być źródłem czystych rozkoszy przeczyszczających, a dzisiejszej poezyi nie holduję, bo kapiesz się w takowej, a jak byłeś cielęciem, tak jesteś. Cały świat poezyi jest kółkiem, które nam ciągle inną część pokazuje. Naprzód była dzika natura czyli romantyczność, później była reakcja, bo wynaleziono pozytywkę i był pozytywizm, potem przybył kierunek byczewszczyzny zatruwający cielęta piolunem, aż nareszcie zjawił się porządny Pasturek (ce cher Bergerac), znów grający na fujarze romantyczność, a więc coś czystsze- go, jaśniejszego, szlachetniejszego, etyczniejszego, podnioslejszego... I tak ciągle...

Tu Lis, doprowadzony do ostateczności, o nic już nie pytając, z zaciśniętymi zębami, z obłędem w krwawych oczach, błady, wypadł z obory i na przelaj śmignął przez pola, jakoby od pszczelich kęsany rojów.

Nazajutrz dzień był duszny i niepokojący. W powietrzu gór Świętokrzyskich wisało jakieś wonne dyabelstwo: czuć było zapach tuberozy, bżów i siarki. Nad wejściem do jamy Wilka zwieszały się frendzle błuszczów i powojów, niby zatrzymane w biegu zielone siklawy, które spad ich własny, jednostajny, uspił.

Na łożu z paproci, nigdy nie prześcielanem, leżał stary, zbiedzony Wilk, i poziewywjając częstotliwie z głodu, słuchał sprawozdania Lisa z wczorajszej wycieczki.

— Nie mogłeś to gdzie po drodze uszczknąć jaką odrobinę drobiu?

— Wasza Wilczości, w tamtą stronę idąc, żadną miarą, bom nie wziął sakiew, a z powrotem, musiałem co tchu pędzić, dla ulżenia napiętym nerwom, tak mnie zmęczyło krasomówstwo cielęce.

— A wierzę, wierzę — potaknął Wilk, któremu Lis odczytał był właśnie wszystkie mowy zapisane w karneciku. — Elokwencya cielęca może zabić najtęższego wołu. Kroniki przytaczają nam nie jeden tego rodzaju przykład.

— Cała sierć była na mnie mokrzuteńka. Musiałem sobie ciągle powtarzać z Hamletem: „o stupidity, thy name is calf!“ Myślę — że się nie odświeżę, chyba zarżnięciem jakiej gąski albo i kurki... Cielę i nauka! Ależ cielę nie byłoby cielęciem, gdyby było zdolnem nauczyć się czegoś, wejść w siebie i wyjść z siebie. Jedyny sposób do wysubtelnienia cielęcia i zrobienia zeń czegoś szlachetniejszego, to — zjeść je. Można-ć i z kury zrobić bażanta, ale trze-

ba ją, kurę, zjeść, strawić... a o dalszej przemianie już natura sama pomyśli. Bo chociaż...

— Pst... czekaj-no — rzekł Wilk, który długim postem miał wyostrzoną czujność, — słyszę jakieś beczenie... A nuż to cielak, żądny subtylizacji?... A dawajże go tu, dawaj, skocz-no, pędź, leć...

Lis wybiegł duchem, a Wilk zaczął wielkimi krokami przemierzać jaskinię. Przystawał, wypuszczał ostrza pazurów, próbując chwytności ich na własnej mordzie, i z cicha pośpiewywał. Naraz jakby sobie coś przypomniawszy, zerwał kilka pędów powojowych z różnokolorowymi kielichami, napelnionymi wonnością i gorącem, porzrzucał po ziemi, kilka gałązek porozwieszał na rosochatych złomach ścian, ogarnął legowisko, nastroił pozytywkę, wsunął do kąta jedno, drugie naczynie, i czekał.

Jakoż niebawem ukazał się Lis, postępujący miękko i zgrabnie po kamykach i ostrych zielskach, a za nim cielę, ochoczo postukując kopytkami. Wilk, jako uprzejmy gospodarz, stał już u progu.

— Najłapczywszy Wilku, mam zaszczyt przedstawić: Fikaryę, ozdoba cieletnika a moja dobra znajoma — rzekł Lis, patrząc jednym okiem na cielę a drugim na swego pana.

Wilk skłonił się szarmancko, wpuścił Fikaryę przed sobą do jaskini i rzekł z szeroką gościnnością w stylu wschodnim:

— Oto mój dom ubogi, niebielone ściany, otom ja sługa sług twych, jak mówi poeta. Czego poszukujesz w mojej samotni?

Cielę przyjemnie uderzył styl gospodarza i poetyczny nieład w jaskini. Zadrżało jej serce i wyfrunęło na język.

— Przychodzę do was, Wilku, żebyście mnie raczyli rozszerzyć i wysubtelnić.

Wilk mrugnął na Lisa i szepnął mu w narzeczu niezrozumiałem dla Fikaryi:

— Zostaw nas samych. Jeżeliś ciekaw, możesz patrzeć przez dziurkę od klucza. Wychodząc, bądź łaskaw zasłonić wejście bluszczem i figowemi liśćmi.

Lis wyszedł.

— Więc tedy chcesz się wysubtelnić? Ależ siadaj, ot tu przy mnie... Można, można... Nawet bardzo to chwalebne, i nie masz wyborniejszej rzeczy nad subtelność, zwłaszcza cielęcą, z lekkim podrumienieniem, z młodym, wonnym naskórkiem, z drżącą galaretką, ze słonawym sosikiem... Tylko że subtelność nie osiąga się tak zaraz na poczekaniu. Zostań u mnie, pobądź nieco dłużej, poznamy się, zwąchamy, będziemy przelewali z duszy do duszy różne roz-



pierające nas uczucia... Będziemy razem odbywali podróże, poznasz świat nowy, skruszejesz, wypełnisz się...

— Ach, jak tu milutko — przerwało cielę — widząc porzucone kwiaty. — Tak tu inaczej niż w brudnej, ciasnej oborze, gdzie co rusz to belka, to płot, to kołowrot, to wierzeje — aż głowa od tego pękała... A tu, nieprawdaż, tu wszystko wolno?

— Ależ tak, tak, moje najdroższe cielątko, moja Fikaryjko! Możesz tu sobie robić, co ci się żywnie podoba.

— Jak to dobrze, takam szczęśliwa... Powiem ci, Wilku — bo będziemy na „ty“, nieprawdaż? — powiem ci, że choć głosiłam podniosłość pracy wspólnej z jakim znacym wołem, nie wierze, żeby najlepszy wół nie był nudny. A ty, mój panie, mój „ty“, jakżeś inny. Masz takie pazury poetyczne i taką masz mordę, ty brzydaku najdroższy... Ach, takam szczęśliwa!.. Zawyjesz mi co, prawda? Z daleka słyszałam twe wycie dotąd, a teraz!..

Wilk, podniecony gorączką głodową, którą obecność Fikaryi rozjątrzyła jeszcze bardziej, towarzysząc sobie na pozytywce, zawył pieśń pod tytułem „Dobro ogólne“. W pieśni, dla większej zachęty, dobro ogólne upostaciowane było w świeżem, dymiącem cielęciu, które czeka na rycerza, co najwięcej dokonał zniszczeń, walcząc w jego imieniu.

Po skończeniu pieśni, Fikarya, nie mogąc wyrazić różnych rozpierających jej piersi uczuć, padła przed Wilkiem na kolana i zaczęła lizać mu łapy. Co widząc, Wilk zwałił się na nią swoim cielskiem, przytłoczył i chciał zdusić, ale jakoś mu, głodem osłabionemu, nie szło. Obluzował tylko parę żeber Fikaryi, która była najpewniejsza, że to początek wysubtelniania. Oddychając ciężko, Wilk mówił:

— O, moja wiochno najdroższa, kocham cię, tyś taka młoda, piękna niewiedzą rzeczy subtelnych, taka budząca się królewna cieląt!.. Niegodzien jestem, niegodzien, żeś weszła do mego przybytku, ja, stary wygnaniec, szkodnik... Pomyśl, co robisz. Tam ciepły odór obory, mlek pełne wymiona, kłopotliwie zwisające między nogami krów dojnych, tam ryk wołów znacnych, chrzęst pracowitych jarzem, psia opieka... A tu?... Ja, stary, prześladowany stad płoszcyciel, krwi żądny i zemsty przeciw wszystkim oborom świata...

Wilk przerwał, by odsapnąć.

— O, mów do mnie jeszcze — szepnęła Fikarya.

— Więc tak bardzo mnie kochasz, bardzo?

— Więcej niż kochać wolno...

— Jakto, tylko tyle?



Fikarya zarumieniła się mocno.

— Mów, co mam robić?

— Dobrze. Widzisz tam ten kamień? Rozpędź się i uderz  
weń głową, tylko śmiało — jam z tobą.

Ciełą bez namysłu rozpędziło się, i za chwilę leżało już, ciche,  
z rozłupanym czerepem.

— Hej tam, Lisie, — krzyknął Wilk, — bywaj acan!

Zaczęła się orgia.

Spożywszy parę kęsów biednej Fikaryi, Wilk spojrzął na Lisa  
i rzekł:

— Subtelne.



Jan Lemański.

GLOSSY.

**Można się zgadzać lub nie, ale...** Oto powstała rzecz jakaś nowa, ukazało się nowe jakieś zjawisko. Wobec tej nowej rzeczy, wobec tego zjawiska nowego, trzy są możliwości wrażeniowe: albo rzecz nam się podoba, wtedy ją chwalimy, albo się nie podoba, wtedy ją ganimy, albo, wreszcie, jesteśmy na nią obojętni, wtedy milczymy. Zdawałoby się, że czwartej możliwości nie ma. Otóż — jest, bo czegoż nie „wymyśli“ bezmyślność. Mianowicie, przychodzi taki pan od czwartej możliwości, popatrzy na rzecz nową, uśmiechnie się protekcyjnie i powie: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...*“ — tu zaczyna mówić zupełnie o czym innym. Weźmy przykład. Ktoś wypowiedział zdanie: ziemia jest okrągła. Usłyszał je taki pan i mówi: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* na ziemi rośnie pszenica i oset, okrągłymi zaś bywają śliwki, ziemniaki, czasem okrągłą bywa sumka pieniężna, a bardzo często — obręcz.“ Słowem, taki pan napiecie mnóstwo banalności, a o rzeczy samej ani be ani me. Inny przykład. Wydał ktoś książkę pod tytułem „Romans.“ Taki pan przeczytał rzecz, pokiwał głową i rzecze: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* mój Boże, na świecie tyle zadań, potrzeb, nędz i bólów, z romansami nic a nic nie mających wspólnego!..“ Rzekł, postawił wykrzyknik z wielokropkiem, i ocena skończona. Tak, dużo jest nędz na świecie. Jeszcze przykład. Rzeźbiarz wykuł z marmuru kobietę zupełnie rozebraną, nawet — powiedzmy — naga, czyli bezwstydną, która kopie w zęby filistra. W gwałtownym ruchu, nieodłącznym od aktu kopnięcia, to i owo z właściwości kobiecych kształtów lepiej widać, niż gdyby ta sama kobieta siedziała na kanapie i spokojnie cerowała majteczki. Taki pan spojrzął na rzeźbę i krzyczy: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* radzilibyśmy wam, szanowni rodzice, nie pokazywać tego dorastającym panienkom, że-

by nie umarli na duszy.“ Jeszcze jeden przykład. Ktoś wystawił nowy obraz, mający za treść, dajmy na to, feniksa, w postaci reportera, któremu wciąż obcinane uszy odrastają nieustannie. Taki pan (sprawozdawca) stoi przed obrazem i mówi: — „Że to są rzeczy fantastyczne — nic nie szkodzi (ach, doprawdy?); że to są symbole — mniejsza o to (ach, panie!); ale dlaczego autor używa takiej techniki? Ja, zwykły widz, przez którego usta przemawiają całe rzesze podobnych mu, zapewnić mogę artyście, że celu swego nie osiąga. Na mnie jego fantazyja słabo działa, a słowo daje, że, doprawdy, nie jestem gruboskórny (ach, doprawdy?). Nie posądzam autora (to „posądzam“ jest wyborne) o brak talentu ani o nieuctwo estetyczne (ach, panie!), wiem, że to umysł ścisły, śmiały, zdający sobie sprawę z celów i środków malarstwa, ale... obraz czyniłby bardzo silne wrażenie, gdyby był namalowany inaczej. Wypada więc postawić dwa przypuszczenia: albo technika ta jest wyrazem ducha artysty i żadną inną zastąpić się nie da, a w takim razie *można się zgadzać lub nie, ale...* szanować trzeba, co uszanowania warte, albo też dzieje się inaczej. Wszystkie te niepojętości nazywają się szukaniem nowych dróg w sztuce. *Można się zgadzać lub nie, ale...* jakżebyśmy pragnęli, aby te drogi raz już nareszcie zostały znalezione!..“ I znów wykrzyknik, wielokropek i — domyślnik.

Ach, taki panie, co „nie na wszystkie godzisz się poglądy,“ powiedz pan nareszcie, do jakiego stopnia można się zgadzać, a do jakiego nie: czy powyżej, czy poniżej zera, powiedz, panie, czy zero? Ale taki pan nie może odpowiedzieć dla dwóch powodów. Najczęściej, taki pan, który wymyślił niejako czwarty wymiar zapatrywań, nic zgoła nie wie, co o danej rzeczy nowej sądzić, bo duchem jej nie widzi i nie czuje. Mówi mu wzrok, że ta rzecz istnieje, z powodu tej rzeczy słyszy jakiś hałas, tylko o co tu właściwie chodzi, sam nie wie. Gdy rzecz ze złota, no, to jeszcze łatwiej ocenić jej wartość, gorzej, jeśli chodzi o rzecz z farb i płótna lub z papieru i atramentu. Ale cóż? — napisać wypada, żeby nie sądzono, iż mu obojętne „postęp, życie i sztuki piękne.“ Bierze tedy pióro i kropi: — „*Można się zgadzać lub nie, ale...* życie nie jest sonetem ani gazelą.“ Oj, to prawda: życie stwarzane przez wołów mało ma wspólności z gazelą. To jeden powód. Następnie, taki pan, którego do pisania zmusza „siła wyższa“ (powyżej zera), nie chce wpaść, jak brudne portki, między kamień i kijankę (w okresie mody na ludowość stosowaną każdy to porównanie zrozumie), stawia dyabłu świecę i świętemu Symplicyuszowi kaganek. Napisaniem owego „można się zgadzać lub nie, ale...“ najwyraźniej taki pan powiada: — „Ja

trzymam waszą stronę, rozumiecie, ale, ze względów wyższych, nie mogę tego tak otwarcie głosić, pojmujecie... My, w kółku koleżeńskim, jeden z drugim, panie dobrodzieju, to zupełnie co innego, a ogół, słowo publiczne, kapłaństwo społeczne, uważacie, to zupełnie co innego. Trzeba ostrożnie, uważacie...“

Nie, nie uważamy, taki panie, który dlatego na dwóch siadasz stołkach, bo trudno ci zmiarkować, co weźmie górę, co będzie bardziej zbliżone do siły wyższej, głośniej „brzęczącej!“ Nie, nie uważamy, kochani panowie pół-serdeczni i pół-zimni, pół-artyści i pół-społecznicy, pół-„obywatele“ i pół-ludzie, pół-wierni i pół-wątpiący, słowem — półgłówki, półserdki i półduszki, o których Pismo Święte mówi: wrzucicie to śmiecie do śmietnika piekieł!

Tredecim.

### POWIEŚĆ.

St. Przybyszewski. *W godzinie cudu*. Warszawa. Fiszer. — Józefat Nowiński. *Życie i marzenie*. Lwów. Towarzystwo Wydawnicze. — Sewer. *Legenda*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Kazimierz Laskowski. *W ojców ślady*. Warszawa. Dubowski. — Tadeusz Konczyński. *Śladem tęsknoty*. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Anatol France. *Clio*. Przekład Stanisława Popowskiego. Warszawa. Wł. Okręt. — O. Ludwik Coloma. *Pisma*. Warszawa. Bibl. dz. wyb.

*W godzinie cudu*, przez Stanisława Przybyszewskiego. — Symfonia miłości, hymn wszystkich jej strun, napiętych aż do zerwania, „cała lira“ erotyzmu, od dysonansowego antagonizmu Płci, tragedyi różnoimiennych magnetyzmów fizycznych, aż do wniebowzięcia syntezy w nadharmonii Dwójcy mistycznej. — Jest to typowy dla twórczości autora utwór, tak ze względu na ideę — motor jego sił wizyjnych, jak na kompozycję, rozwijającą się niby coraz to nowe słupy dymów płomienistych z rozżarzonego ogniska kadzielnego pod tchnieniem coraz to nowych podmuchów boskiego wichru, — jak, wreszcie, ze względu na ułomności tej zkądinąd wspaniałej indywidualności twórczej. — Mamy tu na myśli skazy wspomnianej już *manieri*, która w tym wypadku ma pewne podobieństwo do końskiego ochwacenia. — Wynika ona z gwałtu, zadawanego przez żądzę autorską skrzydłom, niezawsze zdolnym do równie wysokiego i potężnego lotu, a wyczuwanego przez czytelnika jako t. z. „forsa“ nadrabianego patosu, jako dekoracyjność krasomówcza, niekiedy zaś jako oczekiwanie, wśród gratisowych wyryźników, na zbawcze podpowiedzenie omdlałego suflera — na-



technienia. — W niniejszym jednak utworze są to tylko sporadyczne momenty, całość zaś zdumiewa zwartością budowy i porywającą mocą oraz przepychem wizyonerskim.

**Życie i marzenie**, przez Józefata Nowińskiego. — Mefistofelewski uśmiech wykwita ze zbliżenia pod jeden i ten sam podpis: niniejszej powieści — i walecznych harców à la Nordau, któremi autor wzbogacił przepych absurdowy miejscowej „literatury“ krytycznej. — Nie bawiąc się jednak w komunały psychiatryczne, ani w zgubne dla artysty porównania, — miast obłąkańca, w jego kreacji widzimy zajmujący okaz duszy jakobińskiej, z aż gilotynowym niekiedy „instynktem równości“, walczącej z wszechmocnym nad nią urokiem arystokratyzmu, tą ostatnią, wewnętrzną formą poddaństwa, i, wśród buntów złego sumienia, mozolnie kształtującej swą niedorodzoną (przezo nadrażliwą) „godność ludzką“. — Proces ten, z bardzo daleka przypominający „Rouge et Noir“, został odtworzony w sposób zostawiający wiele do życzenia. To wprost „nieskończone“ dzieło (595 stron), ze swą pracowitą rozwlekłością, przygnębiającą zawilością, nienasyconą drobiazgowością, zmorowem dreptaniem w miejscu, robi wrażenie zgrzytającego nad przeszkodą żarna, góry stękającej w porodzie myszy. Wrażenie świszczącego i zapoconego wysiłku uniemożliwia wszelki czar, uwagę zabija nudna i często czcza gadanina; brak auto-dyskrecyi, nie oszczędzający czytelnikowi żadnego szczegółu znojnych zapasów autora z muzą, usposabia jadowicie. — Po za tem przyznać trzeba chwalebność usiłowań i cennego instynktu głębi. Pragnęlibyśmy jednak mniej *krecich* poszukiwań, większej *szerokości* objęcia, *podnioslejszego* stanowiska, *bezinteresowniejszego* nastroju twórczego, wyswobodzenia od owego „instynktu równości“, który, jako instynkt zfermentowanej *mierności*, jest wrogiem nieprzejednanym sztuki i rozwoju artysty.

**Legenda**, przez Sewera. — Zawiesisty garus oportunistyczny: nieskończoność i „barszcz zabielały“, „sztuka nowa“ i pomada do samowaru; śmieszne charakteryzowanie rzeczy niewspółmiernych i czcza gadanina sporna, albo znów pojednawcza. — W motywach rozczulająca dychawiczność odmłodzonego fiksatuarem „vieux beau“, usiłującego sprostać w fantazji i modzie nowemu pokoleniu dandyśów.

**W ojców ślady**, przez Kazimierza Laskowskiego. — Niewyraźna idejka „zagona“, zobrazowana nie bez pewnej energicznej świeżości (np. opis pożaru). Zresztą powierzchowne tylko bronowanie zachwaszczonej i niezoranej roli. — Fatalne samo-zadowolenie, stojące na straży mierności.



Śladem tęsknoty, przez Tadeusza Konczyńskiego. — Pretensjonalne zwierzenia grafomańskie, ucharakteryzowane z naiwnością prowincjonalnego aktora na młodzieńczą genialność „modernistyczną.“

*Clio*, przez Anatole'a France'a, przełożył Stan. Popowski. — Powyższych pięć obrazów historycznych, nie będąc arcy-tworami autora, dają jednak dokładną *średnią* miarę jego wysokiej kultury, głębokiej erudycji i szczególnego, u nas prawie bezprzykładnego artyzmu starożytniczego, złożonego z niepokoju ideowego, z odrazy do trywialności bieżącej epoki i z miłośnictwa archeologicznego, lubującego się w szczególe charakterystycznym, w barwie, *w stylu* epok, które (jak np. w „Pieśniarzu z Kyme“ lub w „Kommie Atrebacie“) stają przed nami z wyrazistością snu na jawie. — Przekład poprawny, niekiedy zupełnie artystyczny.

*Pisma* O. Ludwika Colomy. — Pewien talent kolorystyczny i poczucie dramatyczne, tu i ówdzie wdzięk egzotyizmu hiszpańskiego; wszystko to jednak fragmentaryczne, popsute pośpiechem moralizatorskim i stanowiskiem klerykalnym. — Fryzyerska elegancja warszawska zastąpiła w tłumaczeniu tytuł jednej z nowel „Wesz“ typowo niesmacznym: „A pfe!“ — Przyczynek to do psychologii miejscowego „estetyzmu.“

Włast.

#### VARIA.

**Tredecim** — odpowiadamy na liczne zapytania — nie jest pseudonimem jednego autora. Pod godłem tej „trzynastki“ skupia swe glossy, uwagi i roztrząsania całe grono pisarzy, pragnących wycofania liczmanów i przywrócenia istotnych „wartości“ w dziedzinie stosunków i pojęć artystycznych i literackich.

**Okazowemi zeszytami** Chimery, dla kosztowności tak samego wydawnictwa, jak i przesyłki pocztowej pod opaską rekomendowaną, nie możemy służyć nikomu. Wobec licznych żądań, uważamy za stosowne zawiadomić o tem wyraźnie. Wysłać możemy tylko prospekt wstępny, w którym nie mamy nic do zmienienia ani do dodania.

**Niniejszy zeszyt** 15-ty stanowi zakończenie tomu V-go, o czem przypominamy szanownym abonentom kwartalnym.

CHIMERA.



## SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM V. — 1902.)

GABRYEL D'ANNUNZIO	
(przet. Anna Bronisławska)	
<i>Naprawdę</i> . . . . .	275
EMIL VAN ARENBERGH	
(przet. Miriam)	
<i>Wybór utworów</i> . . . . .	284
K. BALMONT	
(przet. Miriam)	
<i>Jąłem ścigać jak w snach</i> . . . . .	418
KAROL BAUDELAIRE	
(przet. K. Zawistowska)	
<i>Potępione</i> . . . . .	440
AUBREY BEARDSLEY	
<i>Ave atque vale</i> . . . . .	19
<i>Paw'</i> . . . . .	35
<i>Łabędzie</i> . . . . .	277
<i>Rysunek</i> . . . . .	450
CHIMERA	
<i>KRONIKA MIESIĘCZNA: Varia</i> . . . . .	158, 351, 504
AUGUST DONNAY	
<i>Zakończenie</i> . . . . .	187

RALPH WALDO EMERSON ( <i>przet. St. Wyrzykowski</i> )	
Poeta . . . . .	401
HENRYK DE GROUX	
Drugi frontispis do <i>Widma</i> . Litografia. Dodatek do № 14-go.	
ERNEST HELLO ( <i>przet. M. K.</i> )	
Wiek i człowiek . . . . .	133, 296
JAN HEMPEL	
Na wyżynach . . . . .	278
HOKUSAI	
Polip . . . . .	110
Ptak-widmo. . . . .	188
Fale. . . . .	284
JORIS KARL HUYSMANS ( <i>przet. M. K.</i> )	
Katedra (urywek). . . . .	246
J. P. JACOBSEN ( <i>przełożyli: W. B. i Stanisław Wyrzykowski</i> )	
Wybór utworów . . . . .	70
ZYGMENT KAWECKI	
Walc . . . . .	328
TRISTAN KLINGSOR ( <i>przet. K. Zawistowska</i> )	
Z cyklu „Dziewczęta-Kwiaty“ . . . . .	442
BOLESŁAW KOŁTOŃSKI	
Oczy, wy, moje . . . . .	465
MARYA KOMORNICKA	
Biesy . . . . .	36, 213
KORIN	
Irysy . . . . .	88, 212
WŁADYSŁAW KORYCKI	
Widzenia. . . . .	420
STANISŁAW TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZ	
Ozdoby i przerywniki. . . . .	275, 276, 441, 443, 445, 447, 449

JAN LEMAŃSKI	
Sąsiedzi . . . . .	143
Mundus vult decipi . . . . .	482
BOLESŁAW LEŚMIAN	
<i>Z księgi przeczuc</i> . . . . .	384
JADWIGA MARCINOWSKA	
<i>W głębi</i> . . . . .	88, 188
JÓZEF MEHOFFER	
Rysunki na okładkach do №№ 13 i 14.	
Naglówek . . . . .	228
Vita somnium breve . . . . .	245
Dwa rysunki dekoracyjne . . . . .	401, 417
Inicjał . . . . .	482
TADEUSZ MICIŃSKI	
<i>W mroku gwiazd</i> . . . . .	51
MIRIAM.	
KRONIKA MIESIĘCZNA: Poezja . . . . .	147, 333
CYPRYAN NORWID	
Milczenie . . . . .	3, 161
EDWARD OKUŃ	
Rysunki . . . . .	51, 69, 384, 400, 453
Rysunek na okładce do № 15.	
Z. P.	
Sztuki plastyczne . . . . .	156, 341
GIOVANNI PASCOLI	
( <i>przetł. Anna Bronisławska</i> )	
<i>Wybór utworów</i> . . . . .	127
SZKOŁA CECHOWA KRAKOWSKA	
Pokłon trzech króli. Obraz z początku XV w. — odtworzony w światłodruku . . . . .	2
RACHILDE	
( <i>przetł. Miriam</i> )	
Handlarz słońca . . . . .	451
FELICYAN ROPS	
Vita per ignem (dewiza) . . . . .	419
J'appelle un chat (dewiza) . . . . .	499
N. S.	
Trzy rysunki do „U źródła” . . . . .	367, 375, 383

## KAROL TICHY

Dziewczyna modląca się. Rysunek węglowy, odtworzony w światłodruku . . . . . 354

## TREDECIM.

KRONIKA MIESIĘCZNA: Glossy. . . . . 145, 331, 500

## MARYAN WAWRZENIECKI

Inicjał . . . . . 143

Zakończenie. . . . . 144

## WŁAST

KRONIKA MIESIĘCZNA: Powieść . . . . . 149, 336, 502

## FRANCISZEK WOJTAŁA

Inicjały . . . . . 3, 6, 13, 36, 70, 74, 111, 161, 166, 175, 178, 213,  
246, 249, 253, 258, 260, 265, 269, 271, 272, 278, 420, 422,  
424, 426, 428, 429, 431, 433, 434, 436, 438, 468.

## JAN WROCZYŃSKI

U źródła . . . . . 367

## KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

Refreny. . . . . 306

## KAZIMIERA ZAWISTOWSKA

Wybór utworów . . . . . 18, 228

## JULIUSZ ZEYER

(przetł. Miriam)

Dom „pod tonącą gwiazdą”. . . . . III, 308, 468

## JERZY ŻUŁAWSKI

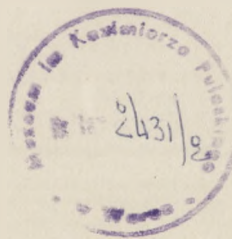
Widzenia Jecheskielowe (przekład). . . . . 355





CHIMERA.





TOM PIĄTY. LIPIEC — WRZESIEŃ 1902.  
WARSZAWA. — NOWY-ŚWIAT, 22.



## CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 15. — Septembre 1902.

**TEXTE:** G. Żuławski — *les Visions d'Ezéchiel*; J. Wroczyński — *Vers la Source*; B. Leśmian — *le Livre des pressentiments*; R. W. Emerson — *le Poète*; C. Balmont — *Je me mis à poursuivre comme dans le rêve*; W. Korycki — *les Visions*; Ch. Baudelaire — *les Femmes damnées*; Tristan Klingsor — *Filles-Fleurs*; Rachilde — *le Vendeur du soleil*; B. Koltoński — *Vous, mes Yeux*; J. Zeyer — *la Maison „à l'étoile submergée"*; J. Lemański — *Mundus vult decipi (fable ironique)*. — Revue du mois: *Glosses, les Romans, Divers*.

**PLANCHES HORS TEXTE:** Charles Tichy. La prière. Fausain reproduit en phototypie chez B. Wierzbicki et C-ie à Varsovie.

**DESSINS DANS LE TEXTE** — de Aubrey Beardsley, St. Turbia-Krzyształowicz, J. Mehoffer, E. Okuń, F. Rops, N. S., Fr. Wojtala.

**COUVERTURE** — de E. Okuń.

---

### OGŁOSZENIA W „CHIMERZE”.

„CHIMERA” przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcją artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcje prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

#### Cena ogłoszeń:

Na stronicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz  
petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce . . . . . **40 kop.**  
Na stronicach po tekście literackim za wiersz petitowy je-  
dnoszpaltowy lub jego miejsce . . . . . **30 kop.**

---

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcji (książki, czasopisma, nuty, reprodukcyje dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

---

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS  
(LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.)  
ADRESSÉES A LA REVUE.

---

REKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcji, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.



# CHIMERA

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY SZTUCE  
I LITERATURZE

Warszawa — Nowy Świat 22. — Skrzynka pocztowa Nr. 457.

REDAKTOR: ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM) przyjmuje  
w piątki od 2 do 4 pp.; ADMINISTRACJA otwarta *codziennie* od 2 do 6 pp.

PRZEDPŁATA w r. 1902 przyjmuje się na wydanie zwykle: tylko

w Warszawie z przes. poczt. za granicą

półroczna (od lipca do stycznia) 5 rb. — 6 rb. 50 k. — 20 fr. 15 mar. 18 kor.  
lub kwartalna 3 rb. — 3 rb. 50 k. — 11 fr. 8 mar. 10 kor.;

na wydanie wytworne, tylko półroczna: w Warszawie 15 rb., z przesyłką  
pocztową 17 rb. 50 kop., za granicą 50 fr., 40 mar., 45 kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

## ROCZNIK PIERWSZY CHIMERY zawiera:

**W DZIALE POEZJI: UTWORY ORYGINALNE** — St. Baręca, St. Brzozowskiego (*wyбір*), Campanelli, J. Jedlicza, Jana Kasprowicza (*Moja pieśń wieczorna, Salve Regina, Hymn św. Franciszka z Assyżu, Judaasz*), M. Komornickiej, J. Krobickiego, J. Lemańskiego (*Sonet y Bajki*), B. Leśmiana, E. Leszczyńskiego, K. Lubeckiego, M. Markowskiej, T. Micińskiego, Wł. Nawrockiego, Cyprjana Norwida (*List do Walentego Pomiana Z.*), H. Ochenkowskiego, Br. Ostrowskiej, Wł. Perzyskiego, J. Ruffera, Juliusza Słowackiego (*Nietrudane warianty do Króla Duchca*), L. Staffa, W. Sterlinga, M. Wilkzemskiego, K. Wroczyńskiego, St. Wyrzykowskiego, K. Zawistowskiej, H. Zbierchowskiego, M. Zbrowskiego — oraz **PRZEKŁADY**: ze starych ballad ludowych skandynawskich, angielskich i szkockich (tłóm. E. Porębowicz), z T. de Banville'a — (*wyбір*, tłóm. Miriam), z Campoamora (*Licencyat Torralba*, tłóm. A. Lange), z Coleridge'a (*Pieśń o starym zeglarzu*, tłóm. J. Kasprowicz), z A. Giraud'a (*Rondele fantastyczne*, tłóm. Miriam), z J. Keats'a (*Hyperion*, tłóm. J. Kasprowicz), z J. Rudenbacha (*wyбір*, tłóm. El-ka), z J. Zeyera (*Na Synai*, tłóm. Miriam);

**W DZIALE DRAMATU**: C. Norwida — *Wanda*; hr. de Villiers de l'Isle Adam'a — *Axel*; Chr. D. Grabbe — *Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie*; A. Gide'a — *Filoktet*;

**W DZIALE PROZY EPICKIEJ: UTWORY ORYGINALNE** — W. Berenta (*Próchno*), Z. B. Bytkowskiego, Z. Dębickiego, M. Komornickiej, T. Micińskiego, C. Norwida (*Ad leones*), St. Przybyszewskiego (*Fragmety z Synów ziemi*), W. Reymonta (*Komurasaki*), St. Wyrzykowskiego, M. Zawilejskiej; oraz **PRZEKŁADY**: — z Andersena (*Chwała Lutterathu*), Wł. Uarszyna (*Astaisa Princeps*), A. Gide'a (*Prometeusz śle śpętany*), J. Schläfla (*Pieśń*), M. Schwoba (*Krucyata dziecięca*), W. Stefanyka;

**W DZIALE PROZY MYŚLOWEJ** — rozprawy i studia: O. Brzeziny (*Tajemnicze w sztuce*), A. Böcklina (*Wyznania*), Fr. Nietzschego (*Dusza dostojna i Fragmenty z Zaratustry*), Z. Przesmyckiego (*Los geniuszów, Walka ze sztuką, Drzeworyt japoński, J. A. Rimbaud*); wreszcie stała **KRONIKA MIESIĘCZNA**, omawiająca objawy w literaturze, sztukach piastycznych, teatrze i muzyce;

### W DZIALE SZTUKI PLASTYCZNEJ:

**PLANSZE OSOBNIE** — Aubrey Beardsley (*Tannhauser wracający na Venusberg*), Fr. Bilek (*głowa Zeyera*), A. Dürer (*dwa rysunki z Apokalipsy*), A. Gierzyński (*Plac Makymilian w Monachium*), Kuniyoshi (*Gra o stawce*), G. Moreau (*Chimera*), F. Rops (*Wielka lra*), J. Stanisławski (ilustr. kolorowe. — *Kościół św. Marka, Villa d'Este, Topole*), Utamaro (*Kobiata z lusterkiem*), St. Wyspiański (*Apollo*);

**RYUNKI OKŁADKOWE** — St. Dębickiego, K. Krzyżanowskiego, J. Mehoffera, E. Okunia (dwa), M. Wawrzeńckiego, M. Wisznickiego; oraz

**OZDOBY I RYSUNKI W TEKŚCIE** — J. Auchentallera, St. Dębickiego, A. Donnay'a, Hiroshige'a, Hokusai'a, G. Klimta, G. Knopffa, Korina, St. Krzyżatowicza, Kuniyoshi'ego, J. Mehoffera, A. Mosera, T. Nonkewskiego, E. Okunia, J. Pleńkowskiego, F. Ropsa, Shokoku, Fr. Siedleckiego, J. Stanisławskiego, Utamaro, F. Vallotona, M. Wawrzeńckiego, M. Wisznickiego, Yusa'i'a.

Po cenie prenumeracyjnej nabywać jeszcze można przez czas niejaki:  
całość rocznika 1-go (tomy 1—4) — w Warsz. za rb. 9, z przes. za rb 12—;  
drugie półrocze (tomy 3 i 4-ty) — „ 5, „ 6,50.  
Zeszyty oddzielne, po cenie oznaczonej na każdym, — tylko z kwartałów  
2-go, 3-go i 4-go; kwartał 1-szy wyczerpany.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie



